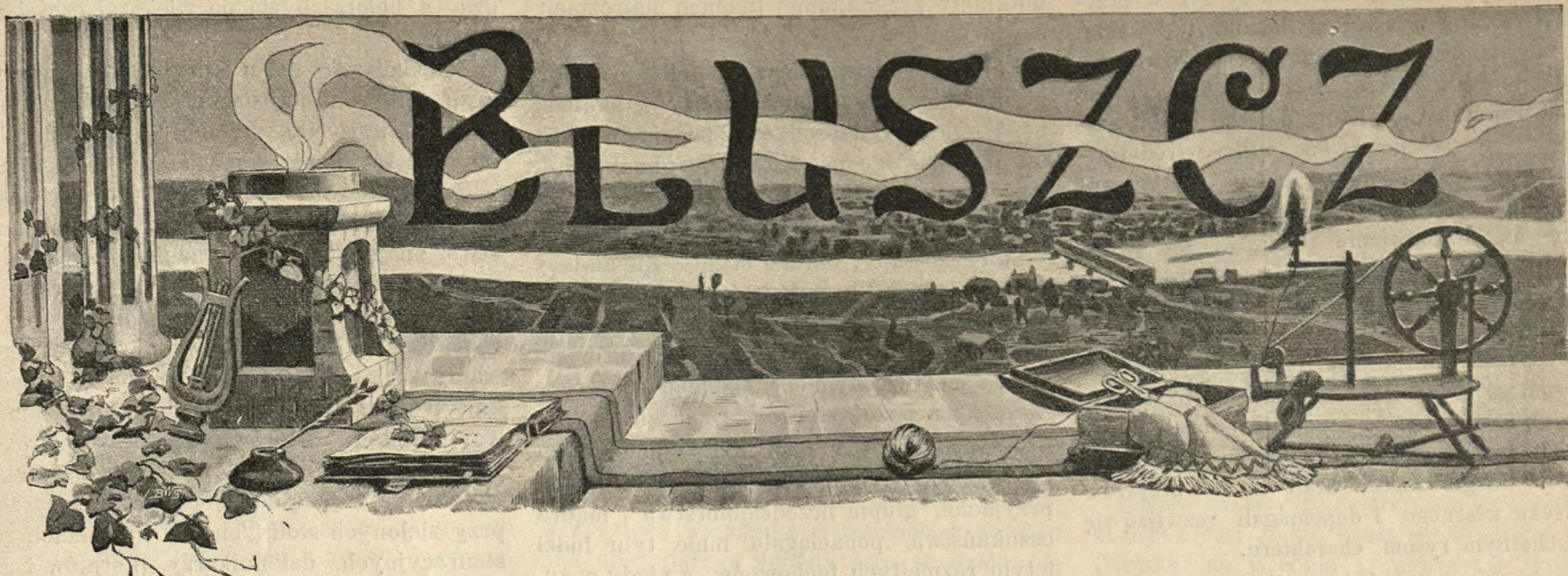




PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 2); półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zł. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgera i Spół. kwart. 5 marek.

JEDYNAKI.



Ogromna jest zawsze różnica między dzieckiem, które ma rodzeństwo, a jedynakiem, który się bez towarzystwa dzieci wychowuje.

Ludzie, patrząc na takie dziecko, rosnące wśród starszych, powiadają, iż ono jest rozpieszczone i źle wychowane, dlatego, bo rodzice mają je tylko jedno i jak się to nazywa „ślepi” są dla niego.

Po części jest i w tem prawdy nieco, ale nie zawsze rozpieszczanie tego dziecka psuje mu charakter, ale czyni właśnie to, iż dziecko nie zna towarzystwa drugich dzieci; że się wśród samych starszych wychowuje i żyje inną treścią wrażeń, przeżywa się wcześniej, starzeje i wad niemało nabiera.

Giętka i podatna jest młoda dusza dziecięca; gdy jest wśród szczebiotu i gwaru dzieci drugich—stosuje się do otoczenia, gdy żyje tylko wśród starszych, odbija ich życie, jak zwierciadło wody odbija skał szczyty — i pozornie wydaje się, że szkody niema żadnej, ale dla psychologa odkrywają się tajniki dusz—dzieci „stare,” jedynaki pieszczone, częstokroć przedstawiają się, jako owe sztucznie w cieplarniach hodowane rośliny, które choć pozornie oko bawia, w istocie są wątłe, nikłe i krótkotrwale.

Dziecko wśród dzieci rozwija się powolniej, to prawda, „dziecinne” długo pozostaje, nabiera od nich nieco wad i kaprysów, to wszystko prawda, lecz przytem ileż ono zyskuje! Ileż ono przeżyje chwil prawdziwej wesołości, swobody i szczęścia, gdy się w gronie dzieci bawi zupełnie swobodnie!... Ileż to dziecko zazna wrażeń, uniesień i zachwytów, gdy fantazją lotną każdą drobnostkę ożywi, lichy pręcik uczyni koniem, krzesło nazwie

karętą, kosz podróżny zmieni w okręt na burzliwych falach.

Dzieci jedynaki, zasypywane i zarzucane zabawkami coraz nowemi, w istocie nie bawią się niemi dobrze, nudzą się ciągle, gdy przeciwnie dzieci w towarzystwie innych dzieci wychowywane, wybornie się bawią kilkoma patyczkami, lalką bez głowy i rąk, koniem bez nóg i wózkiem bez kół.

Czy to nie najlepszy dowód, iż dziecku towarzystwa odpowiedniego o wiele więcej trzeba, niż zabawek wyszukanych i wymysłów nowomodnych.

Jedynaczki, zwykle są w towarzystwie dzieci niezdolne, obrażają się o co bądź, gniewają się, wymagają za wiele dla siebie uwagi i posłuszeństwa. Są to już złe zarodki wad na przyszłego człowieka, który tak samo w towarzystwie ludzi będzie uparty, samolubny, gniewliwy i mało solidarny.

Dziecko, wśród starszych wychowywane, uważa siebie za pół szklane naczynie, ciągle słyszy, iż musi być bardzo ostrożne, bo nogę złamie, bo oko skaleczy, bo rękę zwiechnie. I to piętno zostawia później swe skutki aż nadto widocznie.

Przeciwnie dzieje się tam, gdzie dzieci z dziećmi bawią się wesoło, jedno drugie trąci, wyróci, pehnie i choć guz na czoło wybiegł, choć trochę nóżka zaboliała, nie ma czasu ani myśleć o narzekaniu albo o płakaniu, bo zabawa się doskonale przewleka i szkoda na jej przerwanie bodaj chwilkę. Tu się wyrabia dużo samodzielności, tu energia rośnie, tu charaktery jak w ogniu się hartują, „pampinkowate” gagatki idą w ką, a dzielni, wytrwali rwą się naprzód.

Dziecko w towarzystwie dzieci uczy się cierpliwości, miłości wzajemnej, zanadto żywe, przy flegmatyku musi się trochę uciszyć; za łakome, stanie się mniej chciwe; za po-

wolne, rozrusza się na korzyść własną, bojaźliwe, nabierze odwagi.

Przeciwnie, dziecko wychowywane wśród starszych, najczęściej do wrodzonych wad przybiera tylko większe nawyknięcie i dodaje wady, widziane u osób starszych.

Jakaż rada, aby uchronić „jedynaków” od wychowania dla dzieci szkodliwego?

Trzeba starać się koniecznie, aby takie dzieci miały towarzystwo dzieci przynajmniej 2—3 razy na tydzień do zabawy.

Nie trudna rzecz znaleźć dla dziecka towarzyszy zabawy, tylko trzeba chcieć.

Ale zwykle ci, którzy jedynaków mają, tak są o swoje skarby trwożni i zazdrośni, iż chcieliby wybrać na towarzyszy zabawy anioły, byleby tylko one były na ziemi.

Nierozważni rodzice sądzą, iż ten chłopczyzna ubogo odziany, nie odpowiedni dla ich jedynaka, a tamten blade niebezpieczny, aby choroby nie przyniósł, a ten za wysoki, może dokuńczyć, a ów byłby nie zły, lecz syn szewca i t. d., i t. d. bez końca wyszukuje się tysiące przeszkód.

Tymczasem dziecko wyrośnie i już mu nigdy nikt straconych lat dziecięcych wrócić nie zdoła i już nigdy nie zazna tych błogich chwil zabawy, w której wszystko było miłe, piękne i dobre.

Owszem, jeżeli do „jedynaków,” bardzo pieszczonych, będą przychodzić na godzinę zabawy dzieci ubogie, będzie to nader korzystną sposobnością do zasiewu miłości bliźniego, będzie to nie raz przykładem, czego ubogie dzieci nie mają i bez czego nie czują się nieszczęśliwe. Podartych trzewiczków, łatanych sukienek niema się czego bać, bo to zewnętrzna powłoka, a w sercu dzieci biednych tkwi ów pierwiastek samodzielnej odwagi i energii, która nie raz czyni wielkie rzeczy i nasze dzieci rozbudza do pracy i samodzielności.

Kto się za młodu nie nauczy żyć w przyjaźni szczerzej z prawymi ludźmi, bez względu na stanowisko, ubranie lub ubóstwo, temu i w życiu później trudno będzie dobrać sobie towarzystwa. Które dziecko od lat najmłodszych, wychowywane tylko wśród starszych, słyszy same narzekania na ludzkie wady, obmowy sąsiadów i przyjaciół, które patrzy na rozleniwienie rodziców, na pychę w około widną, takie źle się wychowa i potem ludzie wołać będą, jak to często czynią: „jedynak!...“

Jedynaki nie powinni być źle wychowani, bo miłość rodzicielska nie ma ich okaleczać, ale owszem możność czynienia dobrze powinna dopomóc rodzicom mającym jedynaków, ażeby ubogie dzieci brali na towarzyszków dziecka własnego i dopomagali rozwijać się szlachetnym rysom charakteru.

Jadwiga z Z. Strokowa.



Maryan Gawalewicz. ←

J A D.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

Od tego spotkania widywali się już codziennie.

Eliziewicz należał do oryginalnych okazów, zarówno patologicznych, jak i psychologicznych; całe życie pracował na stan, w jakim się teraz znajdował, prowadził rabunkowe gospodarstwo zdrowia i sił fizycznych, których resztką prawdziwym cudem utrzymywała jeszcze zrujnowany organizm,

dotknięty przynajmniej tuzinem najrozmaitszych chorób.

Lekarze nadziwić się nie mogli jego oporności i bez przekonania i wiary w skuteczność zalecanych środków, podejmowali się kuracyi takiego pacjenta, bo płacił hojnie i poddawał się z naiwnym posłuszeństwem dziecka wszystkim przepisom medycyny.

Stary kawaler, bardzo bogaty, nie mający oprócz jednego brata, żadnej rodziny, żadnych obowiązków, mógł sobie dla sportu, jak powiadał, pozwolić na wszelakie doświadczenia nad własnym organizmem, o którego ratunek za późno starać się zaczął.

— Wydałem tyle pieniędzy — mówił, — ua kobiety, karty, rozrywki, wino, fałszywych przyjaciół, głupie przedsiębiorstwa i mądre oszukaństwa, ponaciągało mnie tylu ludzi i tylu rozmaitych fachowców, a nigdy w życiu nie dałem zarobić ani grosza doktorom i aptekarzom. Po sprawiedliwości niech i oni teraz coś oberwą, tem bardziej, że nie mogę już na nic innego wydawać, a pieniędzy do grobu nie zabiorę.

Pomimo niedołęztwa, jakiego się nabił nieumiarkowaniem i hulaszczem życiem, pozostała w nim nienasycona jeszcze żądza wrażeń, a raczej podrażnień; nie mogąc sam brać udziału w biesiadach epikurejskich żywota, zastawiał je swoim kosztem innym, byle mógł przy nich asystować chociaż w roli gospodarza i amfitryona, jeśli nie gościa i uczestnika.

Jedynę rzeczy, jakiej się obawiał, to samotności i opuszczenia; przez całe dnie drzwi się u niego nie zamykały, spraszał do siebie znajomych i nieznajomych, zbierał towarzystwo często bardzo mieszane, o którego lichiej wartości sam wiedział, ale czynił to niekiedy z umysłu, jak mówił:

— Porządni ludzie coraz więcej mnie nu-

dzą, a hołota bywa po większej części zabawną.

Zchodziły się też u Eliziewicza najrozmaitsze figury z najrozmaitszych sfer, które umiał zawsze tak zręcznie grupować, aby zbyt rażących nie wytwarzać kontrastów.

Ustosunkowany za czasów, gdy żył jeszcze na szeroką i swobodną stopę, miał mnóstwo znajomości; w południe przychodzili do niego nawet ekscellencye z dworskimi tytułami, dowiadywać się o zdrowie przez współczucie i pamięć dawnej zażyłości towarzyskiej, a wieczorami można było spotkać w jego dwóch pokojach, które zajmował w hotelu, aktorów, śpiewaczki estradowe z wiedeńskich tinglów, niebieskie ptaki, wylatujące najczęściej dopiero nocą na żer przy zielonych stolikach i w gabinetach restauracyjnych, dziennikarzy, literatów i artystów, do których miał zawsze szczególniejszą słabość.

Lubił, aby mu znoszono nowinki, wiadomości, anegdoty i koncepty, których słuchał pożądlwie, z ciekawością bardzo żywego i rozbudzonego umysłu, albo z cynicznym uśmiechem starego satyra, który o bezwładnych nogach nie może sam iść w szalony taniec, więc mu się choć zdalka przyglądać pragnie.

Kazał sobie przysłać z księgarni mnóstwo książek i dzienników, ale czytywał je nieporządnie, przewracał tylko, często kart zupełnie nie rozcinając, ważniejsze rzeczy odkładając na później, jakby mu Bóg wie, ile jeszcze życia pozostawało.

Rozmowa z nim była zajmującą i osobliwą, bo umiał mówić o wszystkim ze wszystkimi i miał swój rodzaj sarkastycznego humoru, którym zaprawiał konwersację, żartując najczęściej z siebie samego i ze swojej choroby.

Ludzie lgnęli do niego, pomimo że stosu-

NA WERANDZIE.

(Pogawędka).



Dolce far niente?

Urok tej słodczy tylko człowiek bardzo spracowany zrozumieć może.

Odczuwam tę rozkosz niestety!... wyobraźnią tylko, ale bądź co bądź, zagłębi się człek czasami w głębiny leśne, i choć na krótką chwilę da spracowanym myślom spoczynek, o ile tylko można, oddalając się od gwaru ludzkiego.

Kępka — cień drzewa.

I pada znużony na łono matki-ziemi.

Chciałby rozplynać się w tej ciszy...

Ba! nie z takim zamiarem tu przyszedł... Przyniósł z sobą paczkę dzienników, które odczytać musi, bo czasy są ciekawe, bo ludzie tylko o nich mówią, a nie chciałoby się popisać niewiadomością swoją w rzeczach publicznych.

Zatem się czyta — tylko w lesie przy akompaniamencie muzyki drzew...

Zaciekawili mnie „wrażenia i myśli“ pisane w wagonie kolei warszawsko-wiedeńskiej przez Antoniego Sygietyńskiego, pod ogólnym nadpisem „Z drogi.“ Feljetonem tym redakcja „Gońca“ zaciekawiała czytelników — ale, jak dotąd, na wstępnym dopiero artykule się skończyło. Znać, że autor dalszych ciągów nie przysłał. Ale i w tym tak krótkim wstępie, ileż mądrych uwag wypowiedziano. Podróżnik wykupuje *plackartę* — i wzdyga się na tę nazwę. Zaraz robi uwagę krótką, ale zdaniem naszym taką, że od razu przyjęta być powinna. Plackarta! wyrażenie obrzydliwe, wzięte wprost z niemieckiego *platzkarte*. „Sądę — mówi, — że wystarczyłaby nazwa: bilet numerowany, lub wprost: *przedziałowe*.“

I jakże się na taką zmianę nie zgodzić?...

— Proszę o przedziałowel!...

Krótko, zrozumiale i — i po naszymu.

Odtąd w słowniku moim przestaje istnieć *plackarta*. Mam nadzieję, łaskawe czytelniczki moje, że zgodnie podacie mi rękę i to niemieckie monstrum wypędzicie z języka rodzinnego. Chodzi tylko o to, czy pan kassyer przy kolei zrozumie, czego chcemy od niego?

Smutno byłoby, ażeby podobnego rodzaju

reformy zależały od panów kassyerów, nie zaś od publiczności. Ten i ów, raz i drugi wytłómaczy znaczenie przedziałowego — i pan kassyer tak się osłucha, że sam wkrótce o plackartach zapomni. Wytrwale tylko i od razu do rzeczy wziąć się, nie żałować wystrępienia trochę języka, którym zresztą obrać lubimy.

Dalsze uwagi autora podróży brzmią tak:

„Jeśli wyrażenie *plackarta* wejdzie do naszego języka technicznego, to będzie wina naszego dziennikarstwa (i publiczności — ja dodam) wręcz niedbałego, gdy chodzi o piękność, a nadewszystko o czystość języka. Proszę wziąć do ręki słownik Lindego — ten skarbiec prawdziwy mowy naszej: od wieku XVI-go do połowy XVIII-go klejnoty dźwięku i kryształ formy! Każdy wyraz brzmi swojsko, każde pojęcie przedstawia się jasno, każda myśl ujawnia się obrazowo. Lecz następuje druga połowa wieku XVIII-go, a wraz z nią, jeśli nie bliższe, to przynajmniej częstsze zetknięcie się z cywilizacją, umysłowością, wynalazkami i przemysłem Zachodu, i naraz język zachwaszcza się wyrazami obcymi i formami nieprawidłowymi. Dzieło to „Monitora“ i świstków ulotnych, zastępują-

nek ze zchorowanym tabetykiem i nerwowcem nie zawsze należał do najprzyjemniejszych; w połowie wieczoru nieraz, kiedy siedział pomiędzy dwoma stolikami do kart i przyglądał się szulercie swoich gości, fetowanych zawsze dobrą kolacją, wytwornemi winami i koniakami, dostawał nagle nerwowego ataku, wypraszał wszystkich bez ceremonii, przez telefon wzywał lekarzy, wymyślał tym, którzy pozostawali, aby go ratować i szarpał ludziom nerwy widokiem swoich cierpień podczas napadu konwulsji.

Na drugi lub trzeci dzień, a często w kilka godzin po takich przejściach, bywał znowu uprzejmy i gościnnym „gospodarzem,” po którym nawet poznać było trudno, że po raz setny wyskakiwał z grobu i wyszantał się z ramion śmierci.

Dla Julka Dobrojewskiego miał wyjątkową sympatyę i lubił jego towarzystwo najbardziej; umiał z nim nawet rozmawiać poważnie i z jakimś tonem serdecznym, którego względem innych nigdy prawie nie używał.

Znacznie starszy od niego, pozwalał sobie na poufalszy sposób obcowania z nim, do którego upoważniała go i różnica wieku, i wspólne birtantki ongi, które *viveur'a quand même* z młodym pustakiem swego czasu zbliżyły.

Dobrojewskiemu zaś po półrocznej włości i samotności, potrzeba teraz było gwałtownie jakiegoś powiernika, przed którym mógłby się wygadać, któryby mu choć w części zastąpił Misię w rozmowach.

Po za swoją sprawą sercową miał jeszcze drugi żywotny temat, który stanowił dlań kwestyę wielkiej wagi.

Z literackiego dylletanta, jako autor sensacyjnej powieści, czytowanej od pół roku z takim zajęciem w kraju, przeobrażał się prawie nagle w fachowego pisarza z talen-

tem, któremu „Piekło miłości” wyrabiało firmę.

To, co z początku wydawało mu się zabawką, próbą przyjemnego zabijania czasu, gdy ujął za pióro, aby napisać od niechcenia kilka nowelek i artykułów, stawało się teraz poważnym zajęciem, decydującem niemal o jego przyszłości, mogło być celem w życiu, istotnem odrodzeniem na nowem zupełnie polu, na które wprowadził go szczególny instynkt i przypadek.

Z Warszawy odbierał listy, w których jego miłość własną i ambicję lechtały bardzo przyjemne, nawet przesadzone pochwały; z redakcyi nadesłano mu kilka wycinków z życzliwą wzmianką w pismach, z powodu tak obiecującego debiutu jego w dziedzinie polskiej belletrystyki.

Przyznawano mu talent, zachęcano do dalszej twórczości; nawet w zjadliwym jakimś artykuliku o „jaizmie w powieści,” w którym nazwano go golibrodą arystokracyi i zarzucono, że zanadto szczerze wciąga czytający ogół w swoje osobiste stosunki i własne romanse każe podziwiać wyperfumowanym damom po salonach i buduarach, w których widocznie bywał częstym gościem „nawet o spóźnionej porze,” znajdował się pośrednio wyraz uznania dla świeżej i oryginalnej siły, która „mogłaby lepszy pożytek przynieść literaturze, gdyby nie toczyła wody tylko na młynek osobistych stosunków i własnego zadowolenia dla chwilowej sensacyi.”

Julek przeczytał to ze zmarszczonem czołem i uczuciem upokorzenia; nie spodziewał się, aby tajemnica jego powieści przesiąkla tak szybko na zewnątrz i stała się przyprawą pieprzną utworu, pisanego w bólu i męce jego własną krwią serdeczną.

Przypuszczał, że ze wszystkich czytelników jedna Misia tylko zrozumie alluzye,

ukryte w jego powieści; o nią jedną mu najwięcej, najbardziej chodziło, dla niej jednej to pisał i drukował, aby przy zakończeniu swego stosunku powiedzieć jej po raz ostatni jak i dlaczego ją kochał.

Chciał przed nią raz jeszcze odsłonić całe swe serce i nie myślał wówczas o tem, że ta forma, którą wybrał, może być najniezręczniejszą ze wszystkich i niebezpieczną dla nich obojga.

Niedoświadczony literat nie wiedział jeszcze, jaką niedyskrecyę posiada domyślność ludzka i jakie Argusowe oko ma plotka, żadna sensacyi i skandalu.

Eliziewicz, którego zainteresowały wzmianki o powieści Julka, kazał sobie sprowadzić „Gazetę” do Wiednia i przeczytał „Piekło miłości.”

— Wszystkiego się spodziewałem, — powiedział mu, — ale że pan pójdiesz kiedy między literaty, to mi nawet we śnie nie wydałoby się prawdopodobnem. No, to ja już teraz przypuszczam, że na złość moim znachorom będę jeszcze na linie tańczył. Powiedz pan prawdę, pan to wszystko sam napisałeś?...

Julka rozśmieszyło takie zapytanie.

— Nie, miałem dwóch pomocników, życie i własne serce.

— Był i trzeci, mój drogi paniezu, bez którego nie potrafiłbyś wykrobać ani dzieściu takich wierszy.

— Jaki trzeci?

— Talent.

— Ho, ho!... o tym nie nie wiedziałem, kiedy zacząłem pisać.

— A ja panu powiadam, że tak, o ile ja się na tem mogę znać lepiej, niż kura na pieprzu; chwilami, przyznam ci się ze wstydem, to mnie to tak brało przy czytaniu, że aż w nosie wierciło. Ja musiałem siąkać w niektórych miejscach, a to jest u mnie

cych gazety, a nade wszystko dzieło to tłómaczów, powołanych wprawdzie, lecz nie wybranych, którzy przyswajając piśmiennictwu naszemu arcydzieła i nowości literatury obcej, przez pospiech i, nazwijmy rzecz po imieniu, przez *niechlujstwo umysłowe* bądź wprowadzają do języka wyrazy obce, jak: *sznelcugi, banhofy, plackarty* i t. p., bądź też, tłómacząc myśl jakąś wyraz w wyraz, stwarzają dziwolagi językowe, jak np.: „być lub nie być w stanie zrobić,” zamiast: być lub nie być w możności, jak np.: „mieć miejsce” w znaczeniu: zdarzyć się, przytrafić, zająć i t. p.

„Nie widzę potrzeby — mówi dalej autor podróży — polszczenia wyrazów technicznych, wziętych z greckiego i łaciny, a nawet zapożyczonych z języków nowoczesnych, lecz używanych powszechnie, jak: wagon, poczta, karta korespondencyjna i t. p., jest to dorobek ogólny cywilizacyi. Tymczasem ogłoszony konkurs na wyraz, mający zastąpić „kartę korespondencyjną,” acz używamy oddzielnie obu tych wyrazów, i wynajdujemy, o dziwo! *pocztówkę*, jakby wyraz: *poczta* nie był cudzoziemski, a wyrażenie *pocztówka* nie wyrażało w gwarze miejskiej raczej dziewczyny, służącej na poczcie; i w tym samym czasie przy-

muujemy bez wstępu do naszego słownictwa technicznego wyraz: *plackarta*?

I co mamy na to odpowiedzieć?

Ta pocztówka ze swoim konkursem, zajęciem się nim ogólnem i trudnością porodu — jest wprost wspaniała. Cieszyliśmy się, żeśmy wzbogacili nasz słownik wyrazem *swojskim*. *Pocztówka* została ogólnie przyjęta — no — i *volens nolens* już, zdaje się, zostanie taką. Z rozpowszechnienia się jednak tej *swojskiej* nazwy, wyciągnijmy przynajmniej jedną naukę: że wola gromady w niezłomne częstokroć prawo się zamienia. Niech-że się więc objawi ta wola i w wyrzuceniu precz za nawias, rzeczywiście obrzydliwą *plackartę*, a na jej miejsce: *przedziałowe*, niepodobieranie już *swojskie* wprowadzi.”

Sygietyński umie tworzyć wyrazy i do nich ma szczęście. Czy nie on to wygnał z muzyki *ensemble*, a *zespół* wprowadził? Kto dziś nie używa tego *zespołu*, tak doskonale rzecz malującego?... Miejmy nadzieję, że i z *przedziałowem* tak będzie, a mając w pamięci *pocztówkę*, raz jeszcze i w tym wypadku wolę naszą okazaćmy.

Mijając Częstochowę i widząc wieżę jasno-górską, aczkolwiek przysłoniętą jeszcze rusz-

towaniem, lecz już imponującą — nasuwają się autorowi takie uwagi:

„Nie wiem czemu, ale przeróbki nowoczesne gmachów odwiecznych, kościołów, świątyń, pomników przesiąkniętych tradycyą, nie przemawiają do mnie wcale. Milsze mi są w kościele świece woskowe ze swą jasnością mroczną i wonią odurzającą, niż wszystkie lampy elektryczne, a każda przeróbka architektoniczna budowli starej, choćby nawet mało lub zgoła nie stylowej, wydaje mi się profanacją uczucia, które swego czasu wyraziło się we właściwej sobie formie. Kto zmienia formę dzieł dawnych, ten niweczy rzecz samą, powstałą samodzielnie z uczucia. Jeśli co, to wieżę jasnogórską, pomnik cudu i chwały narodowej, należało było odbudować w takiej formie, w jakiej wznosiła się ku niebu za czasów ks. Kordeckiego.”

Pod całym tym ustępem prawie podpisać się można, lecz zdaje nam się, że tylko o tyle, o ile idzie o gmachy nie *zburzone* ze szczętem. Taki kościół Wawelski z całym pietyzmem i z zupełnem zachowaniem cech dawnych *odnowiony* być powinien. Tu nie wolno nam nic zmieniać, żadnych nowości wprowadzać, choćby one największego mistrza

zawsze objawem rozrzewnienia. U mnie łzy przez nos spływają.

Wykrzywił twarz, jak zamyślony orangutan i nagle z wyrazem pożałowania dodał:

— Ty musisz być już goły, biedaku, skoro się wzięłeś do literatury; powiedz, może ci potrzeba pieniędzy?... hm?... moja kabza jest zawsze na twoje usługi.

Julek się uśmiechnął i ruchem głowy zaprzeczył.

— Nie, dziękuję panu; wystarczają mi jeszcze moje resztki. Do pisania wzięłem się przez miłość, mówiłem panu przecież, że kochałem.

Eliziewicz rzucił się nerwowo i zrobił komicznie bolesny grymas.

— Fe!... wypuść te słowo. Wiesz, do czego kochanie doprowadza?... Spójrz na mnie!

— Kochanie, ale nie miłość, — poprawił go Dobrojewski z westchnieniem.

— To nie jest wszystko jedno?

— Na pozór tak, ale w gruncie rzeczy jest różnica.

Eliziewicz patrzył na niego zmrużonemi oczyma, głowa mu się trzęsła i wargi kurczyły; wyciągnął do niego po chwili swą chudą, żylastą, pomiętą rękę i szepnął:

— Może masz słuszość; ja w twoim wieku także tak myślałem.

Nie puszczał jego dłoni i zadumał się; twarz mu się nieco wygładziła i spoważniała.

— Wiesz, — szepnął cicho smutnym głosem, — zazdroszczę ci dwóch rzeczy, że możesz kochać i umiesz pisać.

W tej samej chwili jednak wrzasnął z bólu i zchwycił się za tył głowy, w której mu strzyknęło tak boleśnie, jakby go lancetem w żywy mózg ukluto.

— A niech cię wszyscy dyabli wezmą z twoją głupią miłością i literaturą! — krzyknął wściekły z bólu, — potrzebne mi takie

rozmowy!... teraz mi będzie łeb pękał do wieczora.

Wybaluszył oczy i patrzył w przestrzeń, jakby czekając, czy się strzyknięcie nie powtórzy.

Do pokoju wszedł służący i przyniósł list dla Dobrojewskiego.

— Jest tu coś dla pana, — rzekł, podając mu długą kopertę, zaadresowaną okrągłym, angielskim pismem kobiecym.

Julek spojrzał na adres, zbłądził i krzyknął tak samo, jak Eliziewicz przed chwilą.

— Zwaryowałeś pan, czy co? — ofuknął go zdenerwowany tabetyk.

Julkowi ręka z listem opadła bezwładnie i drżącym głosem szepnął:

— To od niej!...

(Ciąg dalszy nastąpi).



NASZA PIOSNKA.



Zaspiewam ja piosnkę... w błękity niech leci
Gdy wejdzie księżyc z za gór —
Niech płynie ku chmurce, co nad nim się świeci
I w nocny złączy się chór!
Zaspiewam ja piosnkę, jak „rosła kalina“
Nad leśny schyłona zdroj —
Jak „u tej kaliny“ marzyła dziewczyna
Sen złoty swój!...

A nad nią marzącą noc jasna powiała
Zapachem lasu i róż...
I śniła szczęśliwa, a sercem tak biała
Jak anioł — niewinnych stróż!
Lecz młode marzenie — to śpiew Lorelei
Wiejący od skał nad Ren...
Lecz gwiazda co spada — to gwiazda nadziei...
I znikł jej sen!...

Czy wiecie, jak ciężkie — gdy mróz je oziębi —
Perłowe kwiatów są łzy?
Czy znacie śmiertelną tęsknotę gołębi,
Gdy serce — jak lódź wśród mgły?
Czy wiecie, jak smutno do życia już końca
Kochanych nie spotkać lic?...
Po nocach bezsennych — od ranka — od słońca
Nie czekać... nie?...

Zaspiewam ja piosnkę, jak „rosła kalina“,
Do zorzy kąpiąc się w łzach...
Jak „u tej kaliny“ płakała dziewczyna
Po jasnych młodości snach...
I kwiatek po kwiatku z jej sercem się rozstał
Śród życia ciernistych dróg —
I zgasły nadzieje... i Jeden pozostał
Tam w niebie... Bóg!...

Adela Koneczna.



Marya Łopuszańska.

OBRAZY Z PRZESZŁOŚCI NIEWIAST.



(Ciąg dalszy).

III.

Elissa, kapłanka bogini Asztaroth.

Kiedy w Krotonie wybuchł bunt przeciwko Pytagorasowi i jego uczniom, bunt, którego ofiarą padł sam mistrz oraz całe niemal gro-
no wtajemniczonych w jego naukę, — wówczas w Italii poburzone szkoły pitagorejskie, istniejące w bardzo wielu miastach, a uczniowie albo zostali zabici, albo też rozproszyli się po świecie szerokim, aby wszędzie roznieść

dziełem być miały. Dlatego nie podobały mi się malatury ścian kaplicy św. Zofii i razi mnie modernistyczna polichromia w skarbcu tegoż kościoła. Może to być piękne, cudownie piękne, więc rzucamy te piękności na ściany nowych świątyń, niech one będą wyrazem naszych uczuć i naszych umiłowañ. lecz nie gwałimy przekonañ wieków, nie naprawiamy ich pojęć, ich dróg nie prostujemy.

Dzieło przodków powinno zostać ich dziełem, naszym jest obowiązkiem zachowanie go w nieskazitelnej czystości.

Mam bałwochwalczą cześć dla tych pamiątek przeszłości. Nie wyjąłbym jednego mchem obrosłego kamienia, choćbym go miał złotą tablicą zastąpić. Tablica piękną będzie, lecz nie dojrzyysz na niej pocałunku wieków, a ten pocałunek jest tu wszystkim!

Zda się, że rzecz się ma nieco inaczej z odbudowywaniem wieży jasnogórskiej.

Spaliła się! po tamtej, dawnej, ślad marny nie pozostał. Zgrzeszylibyśmy może wedle zupełnie nowego odbudowując ją stylu, nie dlatego, byśmy prawa nie mieli, bo wieża już nie istnieje i całkiem nowa powstaje, lecz, że do tamtej, dawnej, przyzwyczaiły się tłumy i kształt jej w świeżej pamięci mają.

O ile więc nas pamięć nie myli, wieża będzie zupełnie wedle dawnego odbudowana wzoru; żelazo i kamień zastąpią tylko części drewniane, a kilkunastołokciowe wywyższenie doda jej tylko większego majestatu, nie zmieniając nic a nie dawnego jej charakteru. Nie zeszpeci jej i słońce elektryczne, — stałem światłem zastąpi tylko dorywcze płomienie, które stały się przyczyną katastrofy.

Ksiądz przeor Paulinów, ten kościół Jasnogórski, ten klejnot chwały narodowej, otacza mecierzyńską iście pieczołowitością. Przypominamy sobie wspaniałą ofiarę Wyspiańskiego ozdobienia wewnątrz świątyni li tylko za cenę kosztu. Ofiara nie została przyjęta, bo nie mogła być przyjęta. Kościół Jasnogórski musi wieki przetrwać nienaruszony, niezmienny w niczem, taki, jakim był przed wiekami. Nieznacznym, bardzo zresztą nieznacznym zmianom musi tylko uleże wieża. Ale ona, z powodu wiadomej katastrofy, będzie już dziełem naszego pokolenia. Uwysmukli się, błysnie filarami z kamienia i gwiazdą płomienną u szczytu. Nie będzie w tem grzechu przeciwko wiekom ubiegłym: czas ją zwałić, my ją wznosimy.

Zawdzięczam Sygietyńskiemu miłą chwilę

pagadanki z wami. Nałęczowskie lotnisko nie dawało mi do niej przedmiotu. Kuracjuszków jest dużo, zakład przepełniony, na „reuniony“ (nie można przyzwyczaić, by mówiono: zebrania) odbywające się co niedziele, żądni zabawy aż z Warszawy przyjeżdżają. Ze świata literackiego, okrom Prusa, który rok rocznie Nałęczów nawiedza, bawią: Faleński (Felicjan), Kaszewski i Wacław Wolski. W tych dniach ma i Daniłowski przyjechać.

Od dwóch dni mamy dopiero deszcze. Przez cały sezon letni niemiłosierna panowała posucha. Czasami przewalały się chmury przez niebo, pasy deszczowe tu i tam mazały się na horyzoncie, ale deszcze nas stale omijały. Po zeszłorocznych klęskach powodzi, bodaj czy nie cięższą klęska jest susza tegoroczna. Wysychają rzeki potężne, drzewa żółkną i tracą liście, rolnicy opóźniają się z zasiewami, Pług nie zagłębi się w stwardniałą skorupę ziemi. Palą się lasy, wsie i miasta.

„Od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas, Pani!...“ — wołamy w hymnie przewspinałym, lecz ludzkość snąc zasłużyła na karę.

Biedacy najwięcej ucierpią.

Ze sprawozdań dziennikarskich widzimy,

nasiona tajemnej wiedzy, wykładanej przez mędrca. Do tych ostatnich należał Hierokles. Po zburzeniu szkoły w Ayrygencie, kiedy przebywał, puścił się na tulażkę i znośząc po drodze głód i nędzę, dotarł wreszcie do Tyru. Gdy tłum rozszarty oblegał szkołę i podłożył pod nią ogień, budynek się zawalił i przygnoił Hieroklesa, który został wydobyty z pod gruzów przez jednego z towarzyszy, ale od tej chwili czuł, jak z każdym dniem siły opuszczają go coraz bardziej, i gdy przybył w okolice Tyru, był już tak zmęczony trudami podróży, chorobą i nędzą, że napotkawszy po drodze gaj sykomor, leżał bezsilny u stóp drzewa, czekając, rychło li śmierć nadejdzie. Na pierwszy rzut oka wyglądał, jak najzwyczajniejszy nędzarz: biała jego szata Pytagorejczyka była tu i ówdzie podarta, twarz wychudzona, oczy zapadłe, nogi pokaleczone przez kamienie przydrożne. Rzuciwszy się na trawę, popadł odrazu w rodzaj pół snu, pół omdlenia, podczas którego różne mary dręczące snuły mu się po głowie. Zdawało mu się, że jest jeszcze w płonącej świątyni bogini Demeter, a tam za drzwiami znajduje się tłum dziki, krwiożerczy, który domaga się śmierci jego i braci: Śmierć oszustom! Niech Tartar pochłonie tych, co chcą nad nami panować! I za co taka sroga nienawiść? Za to, że Pytagorejczycy pragnęli, aby między ludźmi zapanowała, zamiast przemocy i gwałtu, sprawiedliwość i miłość wzajemna, że chcieli w człowieku pokonać zwierzę?... Zwierzę zemściło się nad nimi i tryumfowało, a oni, synowie Boskiej Mądrości tułali się, ścigani i prześladowani na każdym kroku.

Hierokles czuł we śnie, jak go opuszcza moc ducha, i że zaczyna zapadać w jakąś otchłań bez dna. Trwoga ogarnęła jego serce, i zawołał z rozpaczą: „O mistrzu, przybądź mi na pomoc!” Wówczas uwieczony gwiazdami ukazał mu się duch Pytagorasa;

spojrzał swym wzrokiem głębokim i poważnym i rzekł: „Synu, nie upadaj na duchu! Drzewo zcięte wydaje zielone pędy z korzenia, a wiatr roznosi nasiona roślin na najdalsze lądy. Wszak wiesz, że Boska Psyche jest nieśmiertelną, a wielki Duch Twórczy wraz ze swą małżonką, Rhéa-Kybellą, utworzą nowe istoty, które zeszlą tu na ziemię, aby po nas dalej prowadziły święte dzieło. Duch twój smuci się dlatego, że ci się zdaje, iż zło zwyciężyło, ale wiedz o tem, że przyjdą inni po nas, tak, jak byli inni już przed nami, którzy w ukryciu świątyni zapalą pochodnię świętej wiedzy, — oni powiodą ludzkość ku najwyższemu światłu. Przyjdzie czas, kiedy ludzie zrozumieją, iż zło, które ich pożera, jest owocem ich własnego wyboru, że ci nieszczęśliwi śmiertelnicy szukają zdala od siebie dóbr, których źródło noszą w sobie“*). Umilkł głos mistrza i jak niebiańska harmonia rozpląnął się w powietrzu, a postać jego zbladła i stała się przeźroczystą, aż w końcu również rozpląnęła się w przestrzeni. Duszę Hieroklesa napelnił błogi spokój, podobny do tego, jakiego doznawał zawsze, słuchając przemów Pytagorasa, odkrywających przed nim coraz to nowe otchłanie wiedzy boskiej i ukrytej. Zdawało mu się, że i jego ciało stało się również eteryczne, jak postać zjawionego; fale harmonii opływały go dokoła, krążył w przestrzeni bez żadnej przeszkody i czuł, że zbliża się coraz więcej do wielkiego ogniska Życia, do wielkiej Całości, o której mu mistrz mówił tyle razy...

... Nie wiedział sam, jak długo trwało jego zachwycenie; zbudził go nagle śpiew chóralny, dźwięczący jakoś dziwnie: żalostnie i rozkosznie razem; towarzyszył mu odgłos fletów

*) Myśl ta wyrażona jest w jednym ze „Złotych wierszy Pytagorasa.“

i innych instrumentów, wydających dźwięki miękkie, drżące... Stanowiły one szczególną sprzeczność ze słowami hymnu, w których tkwiła tajemnicza potęga Kosmosu, niewyzwolonego jeszcze od ciemnych i chaotycznych sił. Była to wielka matka, Rhéa-Kybella, ale niepoślubiona jeszcze boskiemu Uranosowi, lecz oddana na pastwę dzikich, żywiołowych potęg...

„O Athar, bogini miłości, o Athar bogini śmierci, o Athar, bogini twórcza, o Athar, bogini zniszczenia,—cześć ci, cześć! cześć!

Małżonko Molocha, który pożera płód ludzki i ogniem swym niebieskim niszczy zboża i owoce—pozdrawiamy cię!

Kochanko Adonisa, która zdobisz ziemię kwiatami w porze twej miłości, — pozdrawiamy cię!

Ty, która czczona jesteś pod wielu imionami, na znak twej mocy wielowładnej, o Baoltis, Athar, Asztaroth,—pozdrawiamy cię!

Ty, która podczas nocy, roztaczasz nad ziemią płaszczyk twój srebrzysty, — o Athar bądź pozdrowioną!

Ty, która szalał zapalas w ludzkich sercach,—o Asztaroth, bądź pozdrowioną!

Ty, która niszczysz płód wszelki na ziemi—o Baoltis, bądź pozdrowioną!

Bo oto, kiedyś ty zapanowała nad ziemią, narodziny i śmierć stały się siostrami,—o ty, płodna i niszcząca Bogini!

Więc bądź pozdrowiona w życiu i w śmierci, w narodzinach i w zniszczeniu, o Baaltis-Asztaroth, o Pani wszechwładna, o Matko, o Niszczycielko!

Oto w pyłe tarzamy się u twoich stóp, — spojrzysz na nas łaskawie, wielka Matko,—na nas, którzyśmy twej służbie oddani.“

Ucichł hymn, tylko jeszcze instrumenty jęczały, wydając dźwięki przeciągłe, żalostne i lubieżne zarazem.

— O bogowie, kędyż zawiedliście mię? —

jak z dniem każdym podnoszą się w Warszawie ceny artykułów żywności. Klasa ludzi zamożnych da sobie radę, ludzie małych funduszów niech na baczności się mają. „Pamiętaj rozchodzie żyć z przychodem w zgodzie,“ — ta starodawna sentencja z jak największą ścisłością powinna być teraz zastosowana.

Ze wszystkich letnisk najmniej mi się podobał Nałęczów. Jako zakład leczniczy, może najlepiej jest urządzony w kraju naszym, lecz jako miejsce odpoczynku, nie przypadł mi wcale do gustu. Park piękny i utrzymany doskonale, lecz czy się wyjechało dla przechadzek po parku, dla spotykania się raz wraz z tłumem ludzi, dla zamiany z nimi słów nie mówiących?... Pozostają zatem wycieczki w dalsze okolice.

Zapewne! ale chciałoby się, by te dalsze okolice miały coś pociągającego w sobie, by nęciły pięknnością krajobrazów i różnaitością widoków. Niestety! pod tym względem Nałęczów stanowi jest za ubogi. Kto chce spokoju, ciszy i malowniczych obrazów natury, ten niechaj ich gdzieindziej poszukuje. Szumnie zwane wąwozy nałęczowskie, są najzwyczajszymi rozpadlinkami w miejscowości jaskiem porosłej; góra Poniatowskiego jest

sobie wzgórkami, jakich tysiące w pierwszej lepszej podróży spotkać można, jak i łączka, i las zakładowy, i lasek Górskiego — ale to wszystko nie zwraca na siebie zbyt szczególnej uwagi, opatrzy się rychło, nieczem nie pociągnie raz drugi. W Kazimierzu nad Wisłą można być nie wiem ile razy, i coraz nowe, coraz piękniejsze odnajdywać widoki. Tam możesz godzinami całemi siedzieć i patrzeć — tu, nie masz już na co spoglądać.

A spokój, a owa cisza pożądana?

Daremnie byś jej szukał...

Wspomniałem już poprzednio o gramofonach i fortepianach — ale gdyby i ich nie było, gdybyś w najbardziej zacisznej willi się ukrył, jeszcze ci jej mieszkańcy pożądaną ten twój spokój zamacą.

Kuracjuszów i przybywających dla rozrywek gości jest dużo. Największy procent stanowią Żydzi. Oni też są mieszkańcami willi, a że każda rodzina żydowska składa się z niemałej ilości dzieci, możesz więc wyobrazić sobie, jaka to cisza panuje w obranem przez ciebie mieszkaniu. Zresztą dom każdy nie służy jednej tylko rodzinie, w jednym obejściu bywa ich kilka nieraz, gwar więc trwa ciągle i wybija ciebie z tej równowagi umysłowej,

o jakiej marzyłeś. Krom tego masz codziennie gości nieproszonych w osobach: gramofonisty, malpiarza albo kataryniarza. Nocami, na drogach, przy których stoją wille, odbywają się posiedzenia lowelasów wioskowych, wraz z kucharkami i pannami do wszystkiego gości przyjezdnych. Posiedzenia owe przyjemniają dźwięki harmonii, śpiewy, śmiechy i gwizdy, tak, że zmieniwszy Warszawę na Nałęczów, śmiało rzec można, że — zamienił stryjek, na siekierkę kijek. Kto chce się leczyć i bawić — temu z najczystszym sumieniem polecam Nałęczów; lecz kto pożądanem zdrowiem się cieszy, a zabaw uniknąć pragnie i z całem pożądaniem oddać się wsi rozkoszom, do których zaliczam spokój, spokój i jeszcze raz spokój!.. ten niech jedzie w cienie leśne Kazimierzowskich wąwozów, w ciszę puszczy Białowiezkiej, albo szlążkie Beskidy, dopóki tam jeszcze nie stanęły kuratoria i sanatoria, dopóki tam jeszcze ludzie nie stworzyli dla siebie miejsce zebrania towarzyskich... Przyjdą te dobre czasy, że samotnik samotności nie będzie mógł znaleźć i będzie musiał — obwiesić się z rozpaczą.

Kazimierz Gliniński.

zawołał Hierokles. Wszak jestem w obrębie świątyni Astarte, owej bogini zmysłowych potęg, — krwiożerczej i lubieżnej przedstawicielki czci Księżyca, która zawsze i wszędzie walczyła z Appolińskim kultem Słońca, kultem, dającym życiodawczą siłę i mężką moc duszy; uraga on ciemnym, niezdrowym obrzędowi, które dążą do ujarzmienia człowieka i poddania go pod władzę ślepych potęg przyrody! O boski Zeusie, tyś stworzył człowieka wolnym, a on sam się oddaje w niewolę!

Pokrzepiony snem, a zwłaszcza obcowaniem z duchem mistrza, Hierokles uczuł dziwny przypływ sił duchowych. Zdawało mu się, że sam jeden potrafi zwalczyć owe ciemne potęgi, które zawsze przeciwstawiły się kultowi słonecznego boga, nosabiającego wszystko, co piękne, jasne i dobre i dającego Grecji moralne panowanie nad resztą świata. I oblicze jego również się przeobraziło. Już teraz nie wyglądał na ubogiego nędzarza, pomimo szat podartych coś królewskiego było w jego wejrzeniu i w całej postaci. Apollo sam nie mógłby mieć jaśniejszego wzroku: cała moc ducha w niem się malowała... Syn Słońca szedł walczyć z ciemnym, zmysłowym kultem księżyca, nie dziw też, że czoło jego jaśniało dumą swego królewskiego pochodzenia.

Szedł, na oslep przed siebie, coraz dalej zagłębiając się pod sklepienie rozłożonych sykomor, wreszcie ujrzał w cieniu palm i gęstych krzewów świątynię, o kolumnach niskich, grubych i przesadziwych. Czarna gęstwina krzewów, osłaniała ją tajemniczo z jednej strony, z drugiej zaś wznosił się taras kamienny, szerokimi stopniami zchodzący ku ogrodowi. Słońce już zaszło, srebrna Astarte

wypłynęła na niebo i oblała swem światłem miasto Tyr oraz morze, w dali błyszczące. Pitagorejczyk wszedł po stopniach tarasu i ukrył się za wielką kępą krzewów różanych, których mocny, upajający zapach rozchodził się dokoła. Z wierzchołka tarasu widać było miasto, z piętrzącymi się nad morzem ciężkimi, szerokimi budowlami, kryjącymi w swych wnętrzach prawdziwe mrowiska ludzkie. Głuchy gwar, zmieszany z szumem fal morskich dochodził aż tutaj, mówiąc, że ogromne miasto jeszcze nie spi, lecz żyje życiem potężnym, nieokiełznanem. Hierokles patrzył na nie zdala, i zdawało mu się, że to zbiorowisko żywiołowej, materyjalnej siły uraga mu zuchwale, mówiąc z szyderstwem: „Szaleńcze, który wierzysz w przyszłe zwycięstwo ducha, patrz, ja tu pracuję, ja, ja! Nic nie obali mej potęgi, bom ja jest owa mnogopiersna Cybella, Siła rozrodcza, ślepa, wielka, nieokiełznana Natura, której nikt nie ujarzmi!“

— Nie, nieprawda! Duch cię ujarzmi i staniesz się mu posłuszną! Rhéa-Cybelle, ziemia Żywicielka, wielka Matka poślubi bożkiego Uranosa-Niebo i przestanie wówczas być ślepą, okrutną i krwiożerczą,—będzie sama wolną i obdarzy wolnością swe dzieci!

Rzuciwszy to wyzwanie miastu, skrył się za krzew różany i czekał. Powietrze zdawało się przepełnione szmerami rozkoszy: wiatr ciepły, który muskał od czasu do czasu czoło Hieroklesa, zdawał się westchnieniem piersi namiętnej; jakieś szepty dziwne i tajemnicze unosiły się wśród krzewów i konały w oddali, czasem, gdzieś w gęstwinie rozległ się krzyk długi, przeciągły, i nie można było poznać, czyli był to krzyk bólu, czy też zamierającej rozkoszy.

Ze świątyni wybiegła gromada kapłanek,

z włosami w lśniących puklach, rozrzuconymi na obnażone ramiona, ze złotymi obrączkami na rękach i nogach, okrytych zaledwie przejrystą, barwną tkaniną. Okrągłe ich kształty połyskiwały w promieniach księżyca, wabiąc swą białością; usta wpółotwarte, wilgotne, purpurowe, odsłaniały zęby, podobne do rzędu pereł, zdobiących ich szyje; oczy przysłonięte rzęsami, albo też wzniesione ku górze zdawały się powleczone mgłą miłosnej tęsknoty, lub też ciskały ognie namiętne i zabójcze, jak słońce południowe w pustyni.

Wszystkie były piękne pięknnością zmysłową i drażniącą, jak zapach wonności, które mi namaszczały swoje ciała, ale najpiękniejszą ze wszystkich była Elissa, najwyższa kapłanka, bogini Asztaroth.

Gromadą wybiegły ze świątyni i usiadły na kamiennych stopniach tarasu, poddając czoła wietrzykom, niosącym wonie róż i rozgrzanych w słońcu cyprysów i bukszpanów. Jedne wyciągnęły się na chłodnych płytach kamiennych, inne bezmyślnie obrywały płatki z róż, inne znów niedbale ręką poruszały struny rozmaitych instrumentów, wydających jęczące, a zarazem pieszczące dźwięki. Po nad świątynią unosiły się chmury gołębi poświęconych bogini; miłosne ich gruchanie rozlegało się na gżemsach, w gaju zaś tęsknie przyspiewywał słowik. Gdy księżyc wypłynął wyżej na niebiosa i gaje różane utonęły w srebrnym świetle, wówczas kapłanki rozbiegły się po gęstwinie. Wkrótce w gąszczu zaczęły się rozlegać śmiechy, nawoływania, szepty, które wraz z mocnymi woniami róż płynęły w ciepłym, rozkosznym, rozmarzającym powietrzu.

Elissa została sama na tarasie i patrzyła przed siebie, w dal, na miasto, płonące ty,

QUODLIBET.

(Pogawędka).



IV.

Poezya bywa pozłotniczką życia i świata. Przez nią nabierają blasku i podnoszą się w cenie nawet martwe, często bardzo pospolite rzeczy, nie mówiąc o tych, którym daje nieśmiertelność i które wypełnia swoim duchem. Fajeczka Mickiewicza, zegarek Chopin'a, znoszony kapelusz Matejki byłyby sobie zwykłymi gratami i rupieciami, gdyby nie należały kiedyś do poety słowa, poety tonów, poety barw. Ten drobny szczegół nadał im wartość cennych pamiątek, przed którymi w Muzeach zatrzymujemy się z ciekawością, a przyglądamy nawet z pewnego rodzaju rozrzuwaniem.

Nigdzie może ten kult dla mężów zasłużonych nie jest uprawiany tak gorliwie, jak w Niemczech; ma on w sobie pewną domieszkę naiwnego niekiedy sentymentalizmu, kiedy nawet chustki do nosa wielkiego Goethego, albo ławeczkę, na której „lubił siadywać“ Koerner, szczególniejszą czcią otacza, ale to nie nie szkodzi, to tylko zwiększa popular-

ność ludzi, których pokolenia całe znać, kochać i pamiętać powinny.

Taki pietyzm udziela się, porusza nawet obojętne dusze.

W jakimś Monachijskim Muzeum widziałem, jak relikwię przechowywane sosnowe czy olszowe biurko, stary, obdrapany gruchot, który na tandecie stałby gdzieś w kącie między połamanymi sprzętami, przeznaczonemi na paliwo, a jednak wydało mi się cenniejszem i ciekawszem, niż mozaikowane stoły w Pitti, lub cudnie inkrustowane sekretarzyki w Dolma Bagdze.

— A wiecie czemu?... Bo przy tem biurku Schiller siadywał, gdy pisał swego „Wilhelma Tella.“

Przyznaję się, że mam dla Schillera więcej serca, aniżeli dla Goethego i że się nim zawsze zajmowałem z lubością większą, niżeli twórcą „Fausta;“ on mi tak przypomina naszego Mickiewicza, kiedy w swej „Odzie do radości“ daje uścisk milionom, a pocałunki całemu światu, i wtedy moja biedna, mała dusza czuje się zaplonioną i wzruszoną także w tem objęciu wielkiego poety i zdaje jej się, że wraz z całymi milionami ludzkości przytula się do jego szerokiej piersi, w której było jedno z najszlachetniejszych serc, jakie Bóg dla poetów szczególniejszemu stworzył własnymi rękoma.

Dlatego też tak mi spieszo było do Mannheimu, aby choć okiem rzucić na dom, w którym [autor „Zbójców“] ongi przemieszkiwał, na teatr, w którym pierwsze tragedye wystawiał, na jego pomnik przed tym teatrem, umieszczony między pomnikami dla Ifflanda i Dalberga.

Nie wiele mnie obchodziło, że Mannheim jest ładnym, regularnie zabudowanym miastem, z pięknymi gmachami i szerokimi ulicami; tyle miast widziałem w życiu, że jedno mniej, jedno więcej różnicy nie robi.

Ma ono jednak dom pamiątkowy, przed którym podróżny stanąć musi, skoro raz już jest w Mannheimie,—dom zmazany krwią Kotzebuego; w nim 23-go Marca 1819-go roku, słynnego swego czasu komedyopisarza zamordował sfanatyzowany student Sand.

Biedny Kotzebue, całe życie tworzył farsy a skończył tragedją, podczas jednego z aktów historycznego dramatu i zcierania się nowych prądów polityczno-społecznych. Humor i dowcip, którym walczył za życia w swoich utworach, zalewających w początku zeszłego wieku sceny niemieckiej, usiadł jeszcze przy jego grobie i stworzył koncept o nim: *lebte aus Tinte, starb durch Sand*,—„żywił go atrament, uśmiercił go piasek,“ (*Sand* po niemiecku).

W śliczne, pogodne popołudnie (co prawda

siącami światel; coś jakgdyby znużenie przebijalo się na jej pięknej twarzy, a oczy miały wyraz nieokreślonej, nieświadomej siebie tęsknoty.

Hierokles wyszedł z poza kępy różanych krzewów i stanął, naprzeciwko niej, oświetlony księżycem. Niespodziane jego zjawienie na chwilę napełniło ją lękiem, ale natychmiast siła przyzwyczajenia i instynkt wzięły górę, uśmiechnęła się do niego i rzekła głosem pieściwym, jak fala, kiedy wieczorem łagodnie pluszcze o brzegi:

— Cudzoziemcze, nie wiesz chyba o tem, że nocą niewolno znajdować się w obrębie świątyni tym, którzy nie należą do liczby jej sług i kapłanek? Chodź, ja cię ztąd wywiodę, bo sroga kara grozi temu, kto ów przepis przekracza...

Podeszła ku niemu bliżej i chciała go wziąć za rękę; jednocześnie wzrok jej ogarnął i jego ubiór ubogi, i szlachetność oraz moc dziwną bijącą od oblicza. Zaciekawiona spojrzała mu w twarz uważnie i rzekła:

— Jesteś chyba jakimś królem, który się ukrywa pod szatą nędzarza, bo wzrok twój jaśnieje światłem, jakiego u nikogo nie spostrzegłam dotąd. Ktoś ty jest?

— Jestem człowiekiem wolnym.

(Ciąg dalszy nastąpi).



WIERSE ANNY MEMORATY, „DZIEWICY POLSKIEJ,”

poetki z XVII-go wieku.



Od pewnego czasu zaczęto się u nas bardziej interesować i badać literaturę ubiegłych stuleci, szczególnie zaś literaturę wieku XVII-go.

To badanie, to usiłowanie dokładnego poznania piśmiennictwa polskiego z owej doby, wydobyło na jaw dużo mało znanych lub zapomnianych pism i opromieniło blaskiem sławy imiona nieznane twórców.

Do tej ostatniej kategorii zaliczyć należy poetkę polską, Annę Memoratę.

Pisała ona wiersze po łacinie i powszechnie znaną była wśród sfer, w których się obracała pod nazwą „Dziewicy polskiej” („Virgo polona.”) W wieku, gdy literatura, dzięki tysiącym przyczynom, takim np. jak waśni religijne, spory z dyssydentami, wojny domowe i t. d., chylić się jęła do upadku, ciekawe, bądź co bądź, zjawisko przedstawia dla nas kobieta pisząca.*)

Dodajmy — córka pisarza i pastora dyssydenckiego i — pisząca po łacinie.

Partya dyssydencka odgrywała, jak wiadomo w wieku XVI-ym, ciekawą rolę, to też opierając się na tej tradycji dyssydency pisarze pragnęli umocnić swój wpływ i znaczenie swoje podnieść i utrzymać i nadal, w następnych stuleciach.

Studia historyczne, przez nich przedsiębra-

*) Teodor Wierzbowski, Warszawa. „Biblioteka zapomnianych poetów i prozaików.”

ne, dążenie do oświaty i pragnienie utrzymania się na wyższym poziomie społecznym, znakomicie przyczyniały się do ugruntowania stanowiska dyssydenckiej partii w naszym kraju, a jednocześnie kształciły w tym samym duchu młode pokolenia.

Rodzina Memoratów pochodząca z Czech i przybyła do Polski w XVI wieku, należała właśnie do liczby tych rodzin, które szybko spolonizowawszy się, uzyskały niejako stałą podstawę bytu.

Popierany przez Jerzego hrabiego na Łobiszynie Sobalskiego, wojewodzie poznańskiego i Daniela Mikołajewskiego, superintendenta kościołów wyznania helweckiego w Polsce, kształcił się Memorat na ministra dyssydenckiego i został też nim, początkowo w Wyszakowie, a następnie w Lesznie; w roku 1645 usunął się od obowiązków i osiadł w Toruniu, alści już w rok później chciał się przenieść do Kocka w charakterze seniora. Nie przeniósł się jednak i pozostał w Toruniu, gdzie w 1654 roku śmierć go zaskoczyła.

Najstarsze z jego dzieci, córka Anna, urodzona około roku 1615, najwcześniej imię ojca rozślawiła i bardziej, niż bracia (Jakób, młodo zmarły i Jan, minister w Górsku, pod Toruniem) przyczyniła się do ugruntowania stanowiska rodu Memoratów w tym zakątku Wielkopolski, gdzie dyssydenci utrzymywali się na wyższym poziomie towarzyskim i społecznym.

Bezwarunkowo duży wpływ na młodociany umysł Anny wywierało otoczenie najbliższe: w domu jej rodziców gromadziło się wielu wybitnych ludzi i te stosunki ciągle, to obcowanie z kółkiem jednostek intelligentnych, wykształconych i utalentowanych, wyrabiało

pogoda nie była żadną osobliwością w ciągu tego pamiętnego lata, które buchało słońcem od początku do końca), wyjechaliśmy z Mannheimu i brzegiem Neckaru przybyli do starego Heidelberga.

Jaki on tam stary!... co roku odświeża się młodością, którą w jego mury wnosi nowe pokolenie studentów, rojących się, jak pszczoły około odwiecznej „Almae mater,” ani zgrzybiała, ani się pochyliła, ani porósł pleśnią całych stuleci, — przeciwnie, wygląda na młode, kokietyjne miasto, które się chce podobać, jak gdyby wiedziało, że młodość nie lubi zmarszczek i poślisków cery.

Powiedziałbyś, iż się wdzięczy do studentów, z których głównie żyje i przygląda samo sobie w Neckarze, czy zawsze jeszcze dość pełną ma fizygnomię.

Ten Neckar, jak jedwabna wstęga opasuje miasto uniwersyteckie, niby na znak, że także należy do „burszenszaftu.”

Z góry patrzy stary zamek, jeszcze w wieku XVII-ym przez Francuzów zburzony, — dziś najwspanialsza ruina, jaką Niemcy posiadają.

W tej ruinie jest poezja przeszłości, rycerstwa, siły i potęgi, poezja omszałych, milczących murów, które, gdyby się jakimś cudem odezwały, to grzmiałoby chyba w powietrzu...

Nie dziwię się wcale głosom silnej opo-

cy, które protestują właśnie przeciw zamiarowi odrestaurowania starego zamku.

— Szanujcie stare zabytki przeszłości, ale ich nie tykajcie, — wołają zwolennicy archeologii, — pozostawcie je w spokoju!... dla praktycznej prozy naszej epoki nie niszczone poezji dawnych wieków. Ruina niech pozostanie ruiną, zamieszkałą przez duchy baśni i cienie historii. Po co je płoszyć?... Odbudowany zamek będzie wyglądał, jak staruszek o czernionych włosach, różowanych policzkach i wprawionych szczękach; świeży tynk nada mu tylko sztucznej młodości, zetrze tę szacowną patynę, którą długi czas nakłada zwolna na stare zabytki sztuki. Omszałych butelek nie każecie obcierać z kurzu i pleśni waszym piwniczym, zzieleniałych bronzów nie dajecie polerować po waszych zbiorach, a odwieczne ruiny chcecie restaurować!... dla kogo?... kto dziś mieszkać potrafi w takich murach, w takich komnatach, w takich basztach?... Ironia wieków roześmieje się wam w oczy z tych odnowionych ścian, — dajcie pokój ruinom!

Co prawda, tak nie wiele trzebaby dobudować, załatać i podeprzeć w tej wspaniałej ruderze, aby się stała znowu pięknym zamkiem, w którym zamiast zakutych w stal rycerzy, żołnierze w pikethaubach trzymałaby straż, zamiast giermków i paziów uwijałaby się sfora fagasów w liberyi, a zamiast da-

wnych kurfürstrów jakieś dychawiczne książętko z monoklem w oku i nastroszonymi wąsikami mieszkałoby tutaj, przyjechawszy na studia uniwersyteckie.

Ludzie dzisiejszej epoki i miary pasują tak do zamków starożytnych, jak wiadro do słynnej beczki heidelberskiej, w której ćwierć miliona butelek się mieści, a którą, jako osobliwość pokazują w zamku heidelberskim.

W rajcowskiej piwnicy, pod ratuszem Bremańskim, widziałem jej rodzeństwo brzuchate, nadobną „Różę” i „Dwunastu Apostołów,” zapełnionych winem, po którym lada filister chce wierszami gadać i całować się z całym światem.

„W Heideberskiej kufie Bachus” musi płaszać i gonić za nimfą co się lubi dąsać, a kiedy ją przyprze do jakiego kąta, to ssie słodkie grona z ustek niewiniątka.

„Cmoka ją po szyi, nie daruje włosom, a ludzie się dziwią tajemniczemu głosem i tłomaczą sobie z bardzo mądrej miny, że tak w starej beczce szumi młode wino.

„Co tam ludzie wiedzą, co się na tem zna, jak bogi szaleją, jak bogi kochają!...

„Z Heideberskiej beczki łyk się nie dosłucha tego, co poecie dochodzi do ucha, a kiedy mu wino zarumieni lice, on jeden zna tylko bogów tajemnice!...”

Quis.

(Ciąg dalszy nastąpi).

w dziewczynce charakter, dawało jej wykształceniu umysłowemu i etycznemu gruntowne podstawy.

Gdy zauważono zdolności budzące się w Annie, rodzice starali się oddziaływać na ich rozwój dodatnio, uzupełniając zasób jej wiadomości, kształcąc ją w kierunku rymotwórstwa łacińskiego, które wówczas szerokie rozpinało loty i wogóle zajmując się ugruntowaniem wiedzy i rozdmuchaniem w duszy młodej tego ognia, którego iskra słabo jeszcze tlejąca, już objawiała się, niekiedy rozżarzając się w płomieniu, a obiecując z czasem w wielkie rozgorzeć ognisko.

Wszystko i wszyscy byli pomocą młodemu talentowi, nie nie spychało go z drogi przeznaczenia, nie nie stało na przeszkodzie, nie nie zatrzymywało go w dalszym rozkwicie i wzmaganie się na siłach: to też rósł on w moc i krzepł z dniem każdym.

I czekał objawienia godziny...

A godzina ta nadeszła, gdy w r. 1635-ym odbył się ślub Michała Henrici z Maryą Anną Wolfhagen.

Ów „Michael Henrici“, Michał Henryk, jak go nazywano, był rektorem szkoły w Lesznie; jemu to i jego nowozaślubionej małżonce poświęciła Anna Memorata swój pierwszy wiersz, po łacinie napisany w r. 1635-ym.

Wiersz podobał się ogólnie, przyjęty był z większym, niż należało, uznaniem i w młodej duszy zbudził chęć tworzenia dla tego tłumu, co laurem wieńczy skroń natchnionego pieśniarza.

Ale czy siły nie dopisały, czy zapal zgasł chwilowo, dość, że w ciągu następnych lat pięciu Anna Memorata nie z siebie nie dała ogółowi, nie napisała nic zgoła.

Tak się przynajmniej zdaje: z tych czasów bowiem nie zachował się ani jeden świstek rymowany, któryby z pod pióra „Dziewicy polskiej“ wyszedł.

Dopiero w r. 1640-ym znowu lutnia Anny Memoraty ozwała się dźwiękiem...

Na ten raz wzięła pieśniarka pełny akord i dała rzeczy doskonalsze, pieśni bardziej natchnione.

A stało się to za sprawą Chrystyana-Teodora Schossera.

Sam, znany poeta, ex-lekarz, człowiek, co z niejednego pieca chleb jadał, poznał wiele krajów, a więcej jeszcze ludzi, Schosser w roku 1640-ym zjawił się w Lesznie.

Przybycie jego odbiło się korzystnym wpływem na rozwój zdolności i zapału u młodej pieśniarki i wywołało nowe, tym razem bardziej udolne, usiłowania stworzenia rymu, któryby wszystkich zachwycił.

Istniało wówczas w Lesznie kółko uczonych i rymopisów, które nadawało ton całemu towarzystwu dyssydenckiemu; należeli do niego Kacper Scultechs, rajca miejski, Jerzy Zugehör, sekretarz miejski, Dawid Zugehör, kandydat teologii, Samuel Specht, archiwista, Jan Jonston, historyk, lekarz hrabstwa leszeńskiego i inni.

Do tego kółka, przybywszy do Leszna, przyłączył się Schosser, do niego potrafił wciągnąć Annę Memoratę.

Odgrywając rolę przywódcy, Schosser cieszył się w tem kółku powagą i uznaniem; jego staraniem doprowadzono do tego, że kółko

owo jęło wydawać zbiorki własnych t. j. członków kółka i cudzych rymów, głównie okolicznościowych. Na partykularzu tym sławę posiadał poetycką każdy, kto do kółka należał i powagę Schossera uznawał; było to sobie takie bractwo wzajemnej adoracji, dobrze z sobą zespolone i zsolidaryzowane.

Gdy wierszowane próby Anny dostały się do rąk Chrystyana Schossera, ten nie omieszczał skorzystać ze sposobności, jaka się nadarzyła, i wspólnie z przyjaciółkami kolportując sławę Memoraty, jał na jej cześć i sam pisywać ody, wychwalając jej urodę, cnotę i rozum.

Choć zdania o talencie poetyckim Anny Memoraty były rozliczne, nie brakło wśród panegiryków i takich, co głosili, że jest ona jedyną Polką poetką, której czoło kraj cały wkrótce laurowym ozdobi wieńcem.

Szczupła garstka tych, co naprawdę dobrze życzyli Annie, zachęcała ją do pracy sumiennej i pilnej, ale rady te mniejszą miały wagę, niż pochlebstwa.

Sam Schosser, gdy zauważył, że Anna Memorata istotnie mogła by wyjść z zakłętego koła powszednich rymów i wznieść się na wyżyny prawdziwej twórczej poezji, sam Schosser zmienił nieco taktykę i, aczkolwiek chwalił jeszcze wciąż poetkę, nie szczędził jej jednak uwag i rad praktycznych, mających na celu wskazanie jej drogi, wiodącej na szczyty najwyższe.

A zajął się nią szczerze, z całym zapalem swej, bądź co bądź, artystycznej natury.

Podsuywał jej tematy, opracowywał z nią razem, doskonalił formę, chronił od manieri i ostrzegał przed blizką drogą naśladownictwa.

Wiedząc, czym jest oryginalność motywów i formy w poezji, wiedząc, jak wielką moc posiada poeta, co tworzy samodzielnie, wyodrębnia się od innych, Schosser studiował kazał Memoracie utwory klasyczne, arcywzory poetyckie, nie dając zapanować nad jej umysłem wpływom ówczesnych lichych rymotwórców.

Wiersze Anny Memoraty zebrane przez prof. Teodora Wierzbowskiego, z którego dzieła czerpiemy szczegóły do naszej notatki, podzielić można na dwie grupy: do jednej należą utwory pisane pod wpływem Schossera i innych rymotwórców, do drugiej — rymy panegiryczne na cześć Grodzickiego i Dönhoffa. Pochodzą one z czasu od 1640-go do 1644-go r.

Pierwsze, (ze zbioru wydanego przez Schossera, p. t. „Lauriflorum liber VIII et IX“ w r. 1641-ym,) są właściwie rymowanymi odpowiedziami Anny Memoraty na pisane dla niej pochwały.

Ale o ile wiersze poetów wychwalających Annę są przepełnione wykrzykami zachwytu na jej cześć, o tyle odpowiedzi poetki, nacechowane skromnością, pełne prostoty, zupełnie pozbawione są samochwalstwa i uznania dla siebie samej.

Anna Memorata wprost niedocenia swego talentu, wiersze swoje uważa za bardzo miżerne i ledwie zasługujące na czytanie, niegodne tego rozgłosu, jaki je uwieńczył.

Mówi ona, że przed nią należy się miejsce honorowe jej panegirystom właśnie, a mówi to z głębokim i szczerem przekonaniem, nie

dlatego, ażeby odwzajemnić się pochwałą innym.

Najwięcej uznania i najwięcej wdzięczności okazuje Schosserowi: wzrusza ją troskliwa piecza poety nad jej talentem i nie gardzi jego radami, które za rozumne i pożyteczne dla siebie uznaje.

W drugiej grupie utworów, które prof. Wierzbowski znalazł w bibliotece hr. Raczyńskich w Poznaniu znajdują się okolicznościowe wiersze, poświęcone Adamowi Grodzickiemu, kasztelanowi międzyrzeckiemu i Kacprovi Dönhoffowi, wojewodzie sieradzkiemu.

Wierszy do Grodzickiego jest pięć, do Dönhoffa jeden, opiewający jego przyjazd do Leszna.

Wszystkie te utwory są napisane ładnym, zgrabnym wierszem, ale nie szczególnego nie zawierają w sobie.

Czy to, że talent Anny Memoraty nie mógł osiągnąć wyżyn prawdziwego artyzmu i rozpiąć szeroko skrzydeł, czy też, że okoliczności później tak się złożyły, że Anna Memorata, *virgo polona*, jak sama siebie nazywa, nie umiała opanować trudności wersyfikacyjnych i dała pokój tworzeniu, zniechęciwszy się do poezji — dość, że ani fantazyi, ani sentymentu, ani podniosłych myśli, ani oryginalnej formy doszukać się nie można w tych wierszach, bardzo wczesnych, z doby młodości poetki pochodzących, innych zaś czy nie tworzyła później, czy też zaginęły, dość, że nie można ich porównać z poprzednimi.

A szkoda! Może talent poetki polskiej spótniałby.

Tak, czy owak, jest Anna Memorata ciekawym zjawiskiem na horyzoncie literackim XVI-go wieku i z tego powodu należy się jej ta krótka notatka..

T. K.



Jan Stanisław Mar.

BLADA JESIEŃ.

SZKIC DRAMATYCZNY W 1-ym AKCIE.



(Ciąg dalszy).

SCENA IV-ta.

Witold, Janina, po chwili Grajek.

(Chwila ciszy).

Janina.

Tak długo, tak długo pana nie widziałam. Jak można było tak mnie dręczyć?

Witold.

Nie mogłem... Myślałem o pani, ale taki nawał pracy... Więc, panno Janino, jakże będzie z wyjazdem?... A cóż to miała mi pani oznajmić?

Janina.

Po co pan przywiózł z sobą tego Skarskiego?

Witold.

Chciałem, żeby panią zbadał, to bardzo zdolny lekarz...

Janina.

Więc to naprawdę konsylium... Na co wy sobie robicie ze mną tyle kłopotu, przecież wiesz dobrze... wie pan dobrze, że jestem skazana na śmierć, że prowadzi mnie do niej prosta i krótka droga, bardzo krótka, dzisiaj pewna jestem, że mierzyć ją można na kroki.

Witold.

Dlaczego się pani upiera! Gdyby pani wyjechała, zaręczam, żeby to panią zbawiło! Tutaj powietrze szkodzi pani, ta polska jesień aczkolwiek taka piękna, dla pani stać się może zabójczą. Tam, pod włoskim niebem, znajdzie pani zdrowie, życie!...

Janina.

O, tak, tak, zdrowie, życie!.. Witoldzie, ja tak pragnę żyć, tak ślepo, tak bezmiernie kocham życie!.. Każde silniejsze kaszlnięcie przypomina mi, że śmierć, jak fala powodzi, zatapia mnie coraz bardziej... nieubłagane, Niezem dla mnie ten ból w piersiach, to szarpanie na strzępy płuc moich! Ja czuję ból w całej mojej istocie, z której przemocą wyrwywają życie!.. Nieraz zdaje mi się, że przybrało ono kształt gnanego wichrem obłoku, że pędzi, oddala się ode mnie; a ja zdyszana, upadając z wyczerpania, biegnę za nim, chcę go dogonić, potykam się, padam, znowu powstaję, by biedz dalej z okropną beznadziejną rozpaczą... Obłok coraz maleje, maleje, a przestrzeń między nami, rośnie wciąż i rośnie...

(Opada zmęczona w głąb fotelu i ociera pot z czoła).

Witold (gładząc jej dłonie)

Uspokój się, Janka... Będziesz, musisz żyć. Tylko wyjechać, wyjechać jak najprędzej do słońca, do ciepła, do balsamu świerków i pinii..

Janina.

Ale z tobą, z tobą!.. Witoldzie, pojedziesz, będziemy znowu siadywali razem... Pamiętasz!.. Boże! Czułam, jak w piersi mojej gaśnie płomienna wichura, jak tam z pod popiołów, na pogorzelsku kielkuje we mnie życie, rodzi się oddech życia swobodny, pełny!.. Słuchaj, tyś mi je niósł! Nie w kroplach lekarstwa, ani w pigułkach, ale niosłeś mi je w słowach twoich, w uśmiechu, w głosie, w obecności swojej przy mnie i w każdym twoim oddechu!.. Niosłeś mi je takie białe, takie świeże, jak umajona jabłoń na wiosnę; drgające radością i dźwiękiem pieśni weselnej!.. Ja suchotnica, zmieniałam się wtedy w dziewczynę tryskającą zdrowiem, i ten oddech stawał się swobodny, zupełnie swobodny!.. A teraz... Tak nagle, tak niespodzianie... Zaczęłaś stronić, zapomniałaś...

Witold.

Janiu, Janko!..

Janina.

A w piersi moją, jak do niestrzeżonego domu, cichaczem wpłynęła znowu ta potworna żmija i ssie ją, i zatruiwa jadem swojego żądła i zamienia w próchno mirtowe gaje, które zasadziła dłoń twoja. (po chwili) A może mi cię zabrała inna? (patrzy na niego badawczo),

Witold (drgnął, przecząc ruchem głowy).

(Z lewej, tylnej kulisy, na chwilę przedtem, wysunął się Grajek i zbliżywszy się zwolna, zaczął wyjmować z zana-

drza skrzypce),

Janina.

Nie, nie... O tem boję się nawet pomyśleć. (sposłyszawszy grajka po chwili) O, widzisz, on tu corocznie zjawia się jesienią... Zwykle po jego przyjściu gorzej mi się robi... Przeczuję, że dzisiaj widzę go po raz ostatni. (Daje znak głową, by grał).

Grajek (stroji skrzypce smutnym przeciągłym tonem).

Janina.

Lubię tego wędrownego, złowróbnego ptaka, przeczuwałam, że lada dzień zjawić się musi.

(Grajek zaczyna grać „Pieśń jesienną“ Czajkowskiego. Janina słucha, oparłszy głowę na ramieniu Witolda. Słońce to chowa się za chmury, to rzuca jaskrawe światło na grubą pień brzozy, za którym w kulisie ukryty jest Grajek. Na werandzie, której drzwi są zamknięte, ukazuje się Wirski ze Stefanem i przeglądają recepty).

Witold (Spojrząwszy w twarz Janiny i wyczytawszy w niej wielkie wzruszenie, pragnie dać znać grajkowi, by ten zaprzestał).

Janina (zauważywszy ruch Witolda)

Nie, nie, niech gra!..

(Grajek gra jeszcze chwilę, poczem zgarbiony zbliża się zwolna bez szelestu ku siedzącym, Witold daje mu sztukę monety. Podczas tego Janina stara się stłumić zbliżający się atak kaszlu. Grajek pocichu odchodzi prawą, przednią kulisa).

Wirski i Stefan (znikają w głębi domu)

Witold.

Janiu, pojedziesz?

Janina (z trudnością)

Po co... mi... jechać? (kaszle długo i zwolna uspakaja się. Chwila naprężonej ciszy). Po co mam jechać?... Umierać i widzieć wokoło siebie bujne, radosne życie...

Witold.

Janiu, ależ z tobą nie jest tak źle, jak sądzisz... Imaginacja twoja, chorobliwie podniecona, stawia ci przed oczy ponury obraz śmierci; mówiłaś mi, że jesień zawsze tak smutno cię nastraja, to też wyjedź; myśli twoje pchnięte zostaną w innym kierunku. Tam lato, tam zielona, śmiejąca się wiosna, niosąca w srebrzystym śmiechu zdrowie, tam zabrzmi dla ciebie pieśń... (urywa, widząc na twarzy Janiny niezwykłą zmianę. Na całej jej postaci odbija się jakaś smutna egzaltacja).

Janina (przeżył ruchem głowy. Mówi cicho i bardzo powoli).

Nie Witoldzie, nie... daj spokój... po co ty to wszystko mówisz... (Chwila ciszy. Janina jak gdyby improwizuje, ilustrując jednocześnie słowa łagodnymi gestami) Ach, przyszły chłodne lzy, liście pożółkły drzew, nadeszła jesień już, ta smutna, chmurna jesień... O, nie wróż; nie wróż mi, że zabrzmi jeszcze pieśń, co zbudzi świetlne sny miłości i uniesień!.. Czy słyszysz wicheru wiew, co jęczy, szlocha, lka? Patrz, nawet astry już uwiedle chyłły głowy... Czy słyszysz kruków zew, co pieśń umarłym gra? Ach, wierząc, dla mnie to ich dźwięczy głos grobowy.... O, nie mów, nie wróż mi, że jeszcze zabrzmi pieśń, co zrodzi słodkie sny miłości i uniesień!.. Ach, przyszły chłodne lzy i padły w piersi cieśń, nastąpiła dla mnie już ostatnia, chmurna jesień...

(Wyczerpana zupełnie, opuszcza bezwładnie ręce. Siedzi tak chwilę nieruchoma, zapatrzona przed siebie. Poczem ociera wolno spływające po policzkach lzy cichej rozpacz).

Witold.

Januś, Janinko, zapanuj nad sobą... Nie daj się owładać smutkowi, odegnaj od siebie te myśli, bo toczą cię one gorzej, niżli sama choroba... Wyjedziesz, słońce cię rozgrzeje, przywróci ci siły... No, uspokój się dziecino, uspokój, uspokój (obejmuje ją ramieniem) Wyjedziesz? Prawda?... Pamiętasz te błękitne, jasne noce, tętnące wonnem ciepłem, takie spokojne i tęskne? Pamiętasz...

Janina (przytula się do niego)

O tak, tak... Tyś był przy mnie... Siedzieliśmy nieraz całymi godzinami... Tak mi było dobrze przy tobie, tak spokojne... Zapomniałam, że jesteś przy mnie, odczuwałam cię bezwiednie, jak odczuwa śmiertelnie chory człowiek bliskość drogiej dlań istoty... Pamiętasz, wysunąłeś nie raz pianino na taras, grywałam ci wtedy twoje najulubieńsze rzeczy, pamiętasz, Witoldzie?

Witold.

Pamiętam, wszystko pamiętam, każda chwila przeżyta tam razem, jest w mojej pamięci... Janko, Janko, kwiaty tytoniu ziały słodką woń, nad abażurem lampy krążyły wielkie émy kolorowe, posępne i smutne, niby dusze zakłute... ty byłeś przy mnie taka nieziemska, nie kobieta, tylko przedziwny jakiś kwiat, co się zrodzić mógł jedynie w fantazji poety... W wieczory takie nie wiedziałem, czy żyję, czy śnię sen utkany z księżycowych promieni, z słodkiej woni tytoniowych kielichów i z cichego białego smutku, co jak rozlewna żalność płynął od ciebie... Stawałaś mi się taka jasna, taka kryształowa, jak dusza lilii, do której byłaś wtedy podobną.

Janina (pociągając go ku sobie)

Witoldzie... Witoldzie... ukochany... mój... mój!.. Czy nie widzisz, że żyję tylko tobą, że gdybyś był przy mnie, miałabym zdrowie i siły...

Witold (opamiętał się i stara się z lekka wyswobodzić z jej ramion)

Janina (zauważywszy to)

Ty się mnie boisz... (spieszenie) Nie, nie całuj mnie, bo wszczępię ci ten jad straszny, co...

Witold (nie daje jej dokończyć i całuje ją w usta długo, długo).

Janko, Janinko...

Janina (tuli się do niego w zapomnieniu. Po chwili przychodzi do siebie).

Nie mów... O, były chwile, kiedy nazbyt dobrze czułam, że jestem kobietą, że mam krew, że mam ramiona, co prężą się do uścisku, co schną z rozpacz, że nigdy może nie zawrą cię w swem spleceniu... Nie raz, jakżeś mnie wysłuchiwał i pochylałeś się do piersi moich, krew mi się rozplomieniała... Cała się ku tobie gięłam, cała moja istota chyliła się w twój uścisk... Chciałam szeptać: Witoldzie bierz, bierz mnie, a pocałunki twoje wskrzeszą mnie, w uścisku twoim odtaję, roztopią się w tętnach wszystkie lodowe kryształki. (pada w jego ramiona).

Witold (pryciska ją do piersi)

Dziecino ty moja... Ptaku ty mój biedny...

(Chwila zupełnego zapomnienia).

Janina (śródciego placzu radości kryje głowę na jego piersi)

O tak, tak... ukochany... Teraz chcę żyć, *muszę!* Wyjdziemy tam, gdzie spędziłam najdroższe, najmniej bolesne dni mojej męczarni. Tam woła nas słońce! Tam pojedziemy razem do życia, do życia!... (chwilę ciszy) Tak mi jest teraz dobrze, tak dobrze!.. (długa pauza) Wiesz, chciałabym grać, pomóż mi przejść do pokoju.

Witold (prowadzi ją do pokoju. Janina siada przy fortepianie, obok niej Witold. Janina gra „Pieśń jesienną“).

(Dokończenie nastąpi).



Z listów do „Bluszczu.“



Kraków, w końcu Sierpnia.

W porze, niewiadomo dla czego „ogórkową“ nazwanej, trudno zaczerpnąć materiału do korespondencji z takiego nawet mrowiska, jakim jest zazwyczaj nasz Kraków (nie o liczbę mieszkańców nam tu idzie, lecz o mrówczą pracę, której dokonywają w rozmaitych działach i rodzajach). Skromnej, mrówczej zaiste pracy dowodem była otwarta w końcu Maja „Wystawa artystek polskich“ w podziemiach Pałacu Sztuki (podczas, gdy w salach górnych podziwiano historię krajobrazu — w reprodukcjach, ma się rozumieć). Pomieściła ona rozmaite wyroby i przedmioty z zakresu sztuki stosowanej, wzorowane przeważnie na pomysłach i wyrobach ludowych. Były tu więc ślicznie malowane malutkie skrzyneczki na wzór wyprawnych skrzyń wiejskich, były makatki i ręczniki, ręcznie haftowane i aplikowane, portyery z motywów górskich, krzesła przystrojane pasami skórzanymi i nabijane z huculska ozdobami moisiejnymi (co się nam mniej praktycznym wydało), ekrany i parawaniki z malaturą lub haftem wzorzystym, okładki do książek, teczki, wzory na karty tytułowe do ozdobnych wydań czasopism, publikacji i t. p.

Zebrano tu także wzory do tkanin, używanych do stroju ludowego, a dotąd przeważnie z zagranicy sprowadzanych, więc „bajecznie kolorowe“ szlaki i rzuciaki na chustki, perkaliki. Pożądaną nowością były szkice na patrony, mające służyć do malowania ścian i murów, zastępując narodowymi motywami używane dotychczas wybiórki ściennych malowań i tapet wiedeńskich. Są to dopiero początki, ale świadczą o chlubnych usiłowaniach Koła w tym kierunku i mogłyby służyć za przykład innym stowarzyszeniom i szkołom sztuki stosowanej u nas. Zauważyliśmy kilka pięknie stylizowanych fryzów, kilka ładnych sprządek z drzewa lub skóry, parę intarsji i oceniając usiłowania młodego jeszcze Stowarzyszenia, zegraliśmy małą wystawkę życzeniem, by nowoobrana prezydentka tegoż, pani Józefa Gippert (znana malarka, uczennica Lenbacha), zdołała zapalić swój przelać w niezbyt jeszcze liczne grono pracownic na tem polu.

Niebawem otwarto przy ulicy Garbarskiej (Nr. 7) „Wystawę Zabawek Polskich“, urządzoną obok rękodzielni utrzymywanej przez grono kobiet, ze znaną filantropką panią U. na czele. Wspominaliśmy już o tych wyrobach z drzewa, odtwarzających najpiękniejsze pomniki Krakowa, które się ustawiają z miasternie obrobionych i zabarwionych cegiełek. Oprócz znanych już pomników większych, jak Sukiennice, Wawel i t. p. zwracały uwagę baszty starego Krakowa, dziś już nie ist-

niejące a odtworzone w liczbie czterestu z dawnych sztychów i rysunków. Szkoda, że piękne te zabawki, z powodu artystycznego prawie wykonania, nie mogą rywalizować tanioczą z szablonołymi wyrobami zagranicznymi i niemieckimi. Są jednak i przystępniejsze, np. mappa układana z kawałeczków, mebelki i naczynka drewniane. Ozdobą wystawy były gustowne meble do buduaru lub saloniku z biblioteczką, biurkiem i t. p., wykonane w tejże rękodzielni. — Zanim obszerniej pomówimy o trzeciej jeszcze wystawie, mianowicie „wyrobów metalowych“, otwartej dopiero w połowie Sierpnia b. r., wypada jeszcze wspomnieć o sprawie żywo obchodzącej miasto nasze i nie tylko miasto; to jest o gotującej się zmianie dyrekcji teatru, tudzież oddać hołd winny nowo-obranemu prezydentowi miasta, Dr-owi Juliuszowi Leo.

M. Św.



Kronika działalności kobiecej.



— Pani Stefania Karpowiczowa, właścicielka zakładu leczniczo-gimnastycznego, otworzyła przy zakładzie swym pierwszą u nas szkołę dla kobiet masażu i gimnastyki, stosowanych do celów leczniczych. — Szkoła zatwierdzona przez ministerium spraw wewnętrznych obejmuje kurs, trwający rok jeden, a rozpoczynający się 1-go Października.

Szkoła wydawać będzie patenty na prawo praktyki tak w zakresie masażu, jako też i gimnastyki, a zwierzchni kierunek nad wykładami obejmuje doktor Władysław Kociatkiewicz, ordynator kliniki chirurgicznej przy szpitalu Dzieciątka Jezus.

Szkoła zaopatrzona jest we wszelkie narzędzia pomocnicze, jej też zadaniem będzie dostarczanie chorych dla praktyki uczennic. Celem szkoły będzie zawodowe, poważne kształcenie pracownic w wykładanym w szkole fachu, albowiem masaż i gimnastyka winny być uważane, jako składowe części higieny i medycyny, dotychczasowe zaś dorywcze i dowolne kształcenie się w tych umiejętnościach okazuje się nader niedostateczne.

Wpis roczny wynosi rubli 60, opłacone dwoma ratami po rb. 30.

Bliższych informacji udziela właścicielka szkoły, wpisy rozpoczynają się z dniem 10-ym Września.

— Z Kassy samopomocy dla kobiet pracujących.

Sprawozdanie z posiedzeń Zarządu Kassy za miesiąc Sierpień wykazuje nie słabnącą nigdy gorliwość w uwzględnianiu potrzeb i żądań uczestniczek. Wypłacono 17-u uczestniczkom pożyczki, w summie ogólnej rubli 399, oraz wsparcia czterem uczestniczkom w summie ogólnej rubli 25. Udzielono porad lekarskich 61 (w liczbie tej 4-em leczącym się w domu) i jedną pomoc akuszerską, zaszczepiono ospę 23-m uczestniczkom, lekarstw wydano 44.

Postanowiono dla dogodności uczestniczek przyjmować wkłady pieniężne w pierwszą Niedzielę każdego miesiąca od godz. 2½ do 3½, z zastrzeżeniem, iż punktualnie o godzinie wyżej oznaczonej, czynności przerwane zostaną.

— Z Kassy leczniczo-posagowo-pogrzebowej. Sprawozdanie z posiedzeń Zarządu Kassy za miesiąc ubiegły pocieszającym jest dowodem stopniowego, aczkolwiek dość jeszcze powolnego rozwoju młodej instytucji.

Wypłacono zapomogi posagowe 6-iu uczestniczkom w summie ogólnej rubli 249 kopiejek 14; wsparcia 2-m uczestniczkom rb. 6.

Udzielono porad lekarskich 45-ciu, w liczbie tej 6-ciu, leczącym się w domu. Zaszczepiono ospę 10-ciu uczestniczkom, lekarstw wydano 28.

Z dniem 1-ym b. m. Kassa otworzyła dział rekomendacji pracy, o czym postanowiono dać stosowne ogłoszenie w pismach, aby panie uczestniczki zechciały porozumieć się bliżej w kancelaryi Kassy.

— Paryż. Stolica Francji wzbogaci się wkrótce w godną naśladowania instytucję, którą będzie tak zwana „Szkoła dla matek.“ W Bordeaux przed kilku laty pani Moll-Weiss założyła pod taką nazwą szkołę, w której tak kobiety zamężne, jak i panny uczę się mogą wszystkiego, co im jako żonom, paniom domu i matkom przydatne być może. To, co pani Moll-Weissowej udało się z jak najlepszym wynikiem przeprowadzić na prowincji, pragnie obecnie w daleko szerszym zakresie zaprowadzić w Paryżu i powołać do życia instytucję, mającą być pierwszorzędem dla podobnych zakładów w przyszłości. Pani Moll-Weiss wychodzi z założenia, że w szkołach, zakładach naukowych, młode panny uczę się wielu rzeczy, lecz nie uczę się tego, do czego głównie przez naturę są stworzone, to jest obowiązków żon i matek. Bez pruderyi, bez fałszywego wstydu, w szkole takiej nabierają wiadomości, co je czeka, jako przyszłe matki i jak należy z niemowlętami postępować. Znaczą, że i we Francji kobiety doszły do przekonania, że umiejętne obchodzenie się z maleńkimi dziećmi nie jest darem, który nam z nieba spada, lecz rzeczą, której się na racjonalnych podstawach nauczyć należy.

— Anglia. Londyński komitet wakacyjny zajął się w tym roku zorganizowaniem w szerokim zakresie wypoczynku letniego dla pracownic fabrycznych. Dotychczas zebrał na ten cel fundusz, odpowiadający 22,000 rubli i przy tej pomocy, w części zupełnie bezpłatnie, w części zaś udzielając zapomogi, komitet mógł wysłać około 1,500 kobiet na letnisko.

— Lady Somerset, przełożona zakładu w Duxhurst, w którym leczą kobiety ze strasznego nałogu alkoholizmu, zdała pocieszające za rok ubiegły sprawozdanie. Więcej, niż połowa pensyonarek w Duxhurst została radykalnie wyleczona. Koszty utrzymania zakładu nie licząc robót pomocniczych, wykonywanych przez same pensyonarki, wynoszą z górą 20 tysięcy rubli.

— Stany Zjednoczone.

W Noxbury, przy Bostonie otwarty został przytułek dla chorych i kalek, kobiet i dzieci czarnej rasy. Przytułek ten, noszący miano domu Williama Lloyda Garrisona, został wzniesiony i ufundowany ku czci i pamięci tego prawdziwego apostoła, walczącego przeciw niewolnictwu i ciemieniu murzynów. Przytułek w części wzniesiono na miejscu dawnej siedziby, w Rockledge, gdzie sir William Garrison mieszkał do końca życia ze swą małżonką, w części dawną siedzibę przyłączono. Przy poświęceniu zakładu w gorących słowach do zebranych przemawiała miss Theresa Garrison, córka zasłużonych rodziców, barwnie i wzruszająco opisując zacne postacie rodziców i idealne domostwo w Rockledge, gdzie każdy uciemiężony i niewolą zgniebiony znajdował ojcowską opiekę. Poważni przedstawiciele murzyńskiej rasy w równie gorących słowach podnosili zasługi swego apostoła, uważając dom, zacne jego imię noszący, za wieczną ku jego czci pamiątkę.

— Przewodniczącą i kierowniczką „Wzorowej Szkoły“ w oddziale Filipińskim, na wystawie w St. Louis, jest miss Pilar Zamora. Jest ona urodzoną Filipinką, wykształcenie otrzymała w Jezuickim instytucie Santa Rosa. Po zagarnięciu wysp Filipińskich przez Amerykanów, miss Zamora wstąpiła do Amerykańskiego uniwersytetu i złożyła egzaminy na doktora filozofii. Wkrótce rząd Amery-

kański powierzył jej kierownictwo szkoły Santa-Cruz w Manila, następnie zaś szkoły normalnej.—Na wyspach Filipińskich obecnie jedynym językiem wykładowym w szkołach jest język angielski a to dlatego, żeby stworzyć jeden wspólny język tak handlowy, jak i naukowy, co okazało się konieczne z powodu mnogości plemion, zamieszkujących Filipiny, z których każde porozumiewa się w innym języku.

Z. S.

Nasz ul.

— Kassa nauczycieli i nauczycielek rozpoczęła nowy okres działalności. Lokal Kassy przy Alei Jerozolimskiej pod n-rem 75-ym, otwarty jest codziennie dla interesantów od godziny 6—8-jej wieczorem, z wyjątkiem niedziel i świąt.

Institucja ta istnieje dopiero dwa lata i posiada 260-iu członków rzeczywistych. Pomieszczenie obszerne, widne, dzieli wspólnie z „Przeglądem Pedagogicznym.“ W czytelnictwie wspólnej znajdują się wszystkie pisma, wychodzące w kraju w języku polskim.

Kassa przychodzi z pomocą swoim członkom w miarę swoich środków. Obecnie ma 28 pensjonarzy (26 kobiet i 2-ch mężczyzn), którzy pobierają z kassy stałą zapomogę od 5 do 12 rubli miesięcznie. Prawo do zapomóg mają nauczycielki i nauczyciele wiekowi, którzy ztargali siły i zdrowie przy pracy, niezależnie od tego, czy są lub nie członkami Kassy. Kassa na zapomogi wydaje około 1,400 rocznie.

Nadto zarząd wyjednał dla swoich uczestników ustępstwa od ceny lekarstw w aptekach: E. Gessnera i W. Klickego, oraz w fabryce kefiru Życkiego. Ustępstwa te wynoszą 15—20%. Księgarnia naukowa ustępuje również 15% uczestnikom Kassy.

Kassa udziela pożyczek swoim członkom za poręczeniem osób odpowiedzialnych i znanych zarządowi, do wysokości rubli 300 jednorazowo każdej osobie.

— Przy Szkole komercyjnej Edwarda Rontalera (ulica Kaliksta № 5) otwarto kursa „wiedzy ogólnej i umiejętności komercyjnych“ dla osób bez różnicy wyznania, płci i wieku.

Kursa odbywać się będą codziennie, od godziny 6—9 wieczorem i trwać będą dwa lata. Pierwszy kurs obejmuje program szkół średnich, na drugim kursie wykładane będą przedmioty z zakresu szkół wyższych dla osób, mających zamiar poświęcić się nauce, lub chcących zdawać egzamin konkursowy do wyższych zakładów naukowych.

Kursa podzielone będą na pięć wydziałów, w których wykładane będą: na 1-ym: przedmioty z zakresu wiedzy komercyjnej; na 2-im nauki matematyczne; na 3-im językoznawstwo; na 4-ym nauki społeczne; na 5-ym nauki przyrodnicze.

Wpis 60 rubli półrocznie za wszystkie przedmioty, lub po 10 rubli za przedmiot poszczególny.

Wykłady rozpoczną się d. 20-go Września. Kandydaci winni przedstawić, prócz zwykle wymaganych dowodów, świadectwo z ukończenia przynajmniej 4-ch klas średnich.

— Organizacją wystawy robót dzieci z sal zajęć i szwalni W. T. D., projektowanej na dzień 25-ty, 26-ty i 27-my Września r. b. w ogrodzie Frascati, zajmuje się komisja pod przewodnictwem Zdzisława ks. Lubomirskiego, wice-prezesa W. T. D.

Przedmioty, jak: wyroby, podręczniki, okazy do nauczania poglądowego i t. p., dostarczane być mają do dnia 19-go b. m. na miejsce wystawy, czem zajął się członek Towarzystwa Dobroczynności p. Wierzbicki.

Urządzenie estrady do popisów gimnastycznych, śpiewów, oraz terenu do przemarszu dzieci, ma załatwić opiekun, p. Czajkowski.

Przygotowaniem dzieci do ćwiczeń gimnastycznych i śpiewu zajmą się zaproszeni: pp. Pieńkowski i Piechowski.

Udekorowania wystawy kwiatami, ofiarowaniami przez Z. ks. Lubomirskiego, podjęła się pani Swiniarska, przy pomocy p. Czarneckiego.

Urządzenie bufetu wzięła na siebie p. Liedtkowa, a na niezbędne potrzeby w tym względzie Z. ks. Lubomirski ofiarował rubli 25.

Do segregowania okazów, oraz gospodarzenia na wystawie wyznaczono p. Luboradzkiego.

W dniu otwarcia wystawy, t. j. w niedzielę, cena biletu wejścia wynosić będzie 20 kop., dla dzieci 10 kop., w dni następne 30 kop., dla dzieci 15 kop.

Na członka komisji zaproszono opiekuna, p. Antoniego Kossowskiego, na miejsce wice-prezesa Wielickiego, który wyjechał na kurację, oraz d-ra Kowalskiego.

W końcu prezes, ks. Lubomirski, zaprosił członków komisji, pp.: ks. Gralewskiego, Kühna, Wierzbickiego, Kossowskiego i Czajkowskiego, ażeby jeszcze raz obejrzyli teren przyszłej wystawy.

— Z inicjatywy ks. proboszcza Górzynskiego postanowiono zbudować nowy kościół w Przedczu, w gub. Kaliskiej, kosztem 50,000 rubli, zebranych z obowiązkowej składki parafialnej.

Projekt kościoła opracował budowniczy J. Dziekoński. Będzie to kościół podobny do pięknego kościoła Św. Anny w Wilnie.

— Sprawozdanie z odbytych w roku bieżącym odczytów ludowych, urządzonych staraniem warszawskiego Towarzystwa Ogrodniczego, oraz przez kierownika stacyi doświadczałnej w Kutnie, p. Leśniewskiego, przedstawiło wyniki bardzo zadawalające.

Na odczyty przybyło: w Grodzisku 150 włościan, w Błoniu 179, w Skierniewicach 250, w Łowiczu 250, w Radzyminie 150. Po każdym odczycie rozdawano włościanom nasiona.

Odczyty dalsze mają być urządzone w następującym porządku: 4-go Września w Mławie, 11-go w Nasielsku, 18-go w Grójcu, 25-go w Zakroczymiu i 2-go Października w Kutnie.

— W imieniu artystów polskich p. Franciszek Ejsmond złożył wieniec na grobie Maksa Gierymskiego. Grób ten, kryjący się pod białą tablicą marmurową, otoczony bluszczami, znajduje się na cmentarzu St. Zena pod Reichenhalem w Bawarii, gdzie znakomity malarz umarł dnia 30-go Września 1874-go roku.

Grób utrzymany jest bardzo starannie.

— Hiobową wieść otrzymał „Wielkopolein.“ Donoszą mu mianowicie, że w powiecie Średzkim dwa folwarki, jeden 400, drugi 500 morgowy, mają przejść na własność komisji kolonizacyjnej. Dobra rycerskie Glinno, w pow. Wągrowieckim, obszaru 3,656 morgów, nabył p. Kazimierz Bądkowski od pani Engel za 800,000 marek.

— W Paryżu ukończyli szkołę dwaj młodzi Polacy, laureaci na polu medycznym. Jeden z nich, to p. Władysław Kania, Warszawianin, syn znanego muzyka i kompozytora, uzyskał dyplom od fakultetu paryzkiego, za opracowanie i obronę rozprawy o podatnem usposobieniu kobiet do gruźlicy (tuberkulozy). Młody doktor przeciwstawił zupełnie nowe poglądy od ogólnie dotychczas uznanych przez powagi lekarskie, jako wynik długich i sumiennych studyów. Drugim laureatem jest p. Henryk Lewenhard, syn lekarza, dra Stanisława Lewenharda, osiadłego stale w Paryżu.

— Obok istniejących w Ameryce Uniwersytetów, w liczbie 58-iu do których wstęp jest dozwolony kobietom, istnieje t. zw. „Publiczne szkoły wyższe“ (Public High-Schools), odpowiadające naszym szkołom średnim. Takich

szkół liczy Ameryka blisko 700, a z tych 638 dopuszcza słuchaczki. Większość personelu naukowego w tych szkołach stanowią kobiety, spełniające obowiązki profesorów ku ogólnemu zadowoleniu. Nauka jest bezpłatna, a nadto uczniowie ubożsi otrzymują książki i środki naukowe bezpłatnie. Oprócz szkół wyżej wymienionych, istnieje przeszło 500 szkół prywatnych, z których większość przeznaczona jest wyłącznie dla dziewcząt. Istnieją także specjalne w swoim rodzaju kolegia żeńskie, z których najsłynniejsze są: Vassar Bryn Mawr, Wellesley i Smiths. Pierwsze (nieopodal New-Yorku) pomieścić może tysiąc uczennic, z tych 350 stałych pensjonarek za opłatą 2,000 koron, przychodnie wnoszą po 500 koron w dwóch ratach. Drugie kolegium, w stanie Massachusetts, jest jeszcze droższe, stałe uczennice placą również po dwa tysiące koron, ale muszą jeszcze opłacać własną służącą, lub też same sprzątać i posługiwać sobie, przychodnie wnoszą opłatę w summie 850 koron rocznie. Zakład Smiths, w Northampton (stan Massachusetts) obliczony jest na 1,100 uczennic i przedstawia mniej więcej te same warunki. Jak widzimy, są to uczelnie przeznaczone dla dzieci bogatych rodziców. Niewątpliwie dobór i doskonałość wykładów stoją na wysokości pobieranej opłaty.

Od Administracji.

Z przyczyny nienadejścia mąd z zagranicy, dodatek ilustrowany „Wzory ubiorów i robót“ z numeru bieżącego dołączony zostanie do numeru przyszłego.

Treść numeru:

Jedynaki, przez Jadwigę z Z. Strokową. — Na werandzie (pogawędka), przez Kazimierza Glińskiego. — Jad, powieść, przez Maryana Gawalewicza (ciąg dalszy). — Nasza piosenka (wiersz), przez Adele Koneczną. — Obrazy z przeszłości niewiast, przez Maryę Łopuszańską (ciąg dalszy). — Quodlibet (pogawędka), przez Quisa. — Wiersze Anny Memoraty „dziewicy polskiej“, poetki z XVII-go wieku, przez T. Kończyca. — Błada jesień, szkice dramatyczne w 1-ym akcie, przez J. St. Mara (ciąg dalszy). — Z listów do „Bluszczu“, z Krakowa, przez M. Św. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Nasz ul. — Od Administracji. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 5-ty „Robotnic w Stanach Zjednoczonych“ Van Vorsta, w przekładzie J. P.

Dodatek: Tablica krojów.

Zapowiedziana przez Redakcję tygodnika „Bluszcz“

KSIAŻKA ZBIOROWA p. t.

„KOBIEȚA WSPÓŁCZESNA“

zawierająca prace najcelniejszych autorek i autorów, objętości 366 str. wielkiego formatu opuściła prasę i jest do nabycia w administracji „Bluszczu.“

Prenumeratorki „BLUSZCZU“ płać za powyższe dzieło
tylko rb. 1.

Przesyłka pocztowa kop. 40.

Cena księgarska rb. 3.

GŁÓWNY SKŁAD ŻYRARDOWSKI

w WARSZAWIE, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 55.

Poleca na sezon jesienny:

Płótna, Stołową bieliznę, Ręczniki Chustki i t. p.
Wyroby pończosznicze
Bieliznę męską białą i kolorową
Flanelse, Barchany, Materyały puchowe
Firanki, Dywany, Portjery, Kapy na łóżka, **Pledy.**
Kołdry wataowane, pluszowe, flanelowe i t. p.
Drelichy na rolety i materace.
Oddział damskiej konfekcji posiada w wielkim wyborze:
Bluzki, Szlafroczy, Peniuary, Spódniczki,
 oraz **gotowe wyprawy od Rb. 100.**
Na zamówienie, bielizna stołowa z wrobionymi herbami i znakami.

Kuryer Codzienny

pismo społeczno literacko polityczne.

Wychodzi przez czas wojny dwa razy dziennie.

Drukuje znakomite studium

Bolesława Prusa

Japonia i Japończycy,

oraz bardzo interesującą powieść

Michała Muttermilcha

Ż Y D Z I.

Jako premium bezpłatnie drukuje rozgłosną powieść T. T. Jeża

U S K O K I.

Cena prenumeraty:

w Warszawie:

Rocznie
Półrocznie
Miesięcznie

rub. 6.—
" 3.—
" —.50

Z przesyłką pocztową:

Rocznie
Półrocznie
Miesięcznie

rub. 9.—
4.50
—.75

Dotąd wyszły nakładem „Kuryera Codziennego” i są do nabycia następujące utwory:

Pisma **Z. Krasińskiego**: cztery tomy w oprawie rb. 1.80. **Wincentego Pola**: „Mohort”, „Pamiętniki imci pana Winnickiego” — oba utwory w oprawie k. 80. „Pacholę hetmańskie” w opr. k. 80. „Pamiętniki Stanisława Augusta Poniatowskiego” w opr. rb. 1. **F. Norrisa**: „Octopus” 2 tomy w opr. rb. 1.20 k. **P. Adamsa**: „Syn wojaka z pod Austerlitz” w opr. k. 60. **J. I. Kraszewskiego**: „Dyabel” 2 tomy w opr. 1.60. „Morituri” 2 tomy w opr. 1.50. „Ostatnie chwile Księcia Wojewody” (Panie Kochanku) w opr. k. 60. **D’Anunzio**: „Ogień” 2 tomy 1.20. **D’Aigremonta**: „Mateczka” 2 tomy 1.20. **Hall Caina**: „Wieczne miasto” 2 tomy 1.60. **K. W. Woycieckiego**: „Kurpie” w opr. k. 60 tegoż „Dworek i pałac” w opr. k. 60. „Wybór powieści nieboszczyka Pantofla” w opr. k. 80. **M. Mochnacki**: „O literaturze polskiej w wieku XIX w opr. 1.

Niespodzianka dla Pań!



Nowo - wynaleziona maszynka „HAFTOGRAF” do artystycznego wyszywania; XX wiek tak bogaty w rozmaite wynalazki, i dla pań przyniósł iście piękną nowinkę „Haftograf,” za pomocą którego każda z pań, bez poprzedniego przygotowania i żadnego trudu może wyszywać na serwetach, dywanach, portjerach, poduszkach i t. p. rozmaite desenie. Robota bardzo przyjemna, nieszkodliwa dla wzroku, nie męczy organizmu. Za pomocą „Haftografu” można wyszyć w godzinę więcej niż ręką przez cały dzień. „Haftograf” zagranicą tak jest rozpowszechniony, że prawie niema domu, gdzieby go nie używano. Stanowi to bardzo przyjemną rozrywkę.

Cena z przesyłką rub. 4. kop. 85, za zaliczeniem 10 kop. drożej. Ilustrowany sposób użycia dołącza się bezpłatnie.

Piękne desenie w rozmaitych kolorach do haftu poduszek po 20, 25, 30 i 40 kop. sztuka, do haftu dywanów 40 kop. Prosimy się przekonać. Nie dla zarobku, lecz dla próby wartości „Haftografu” wysyłamy fantazyjny deseń w cenie 3 rb. na prześliczną poduszkę wyhaftowaną na dobrem kolorowym suknie.

Prosimy o odwołanie się na niniejsze pismo.

J. FRANCUZ, Królewska Nr. 49 P. w Warszawie.

Nowy-Świat 18
SZKOŁA KROJU i SZYCIA

M. Maciejowskiej

Prowadzona na wzór Pierwszej Szkoły Paryskiej p. A. Goubaud. Zapisy przyjmuje na kursy całe fachowe po ukończeniu których uczennice otrzymują **Patenty z Cechu.** — Półkursy i oddzielne komplety.

Szkoła Rękodzielnicza KAZIMIERY MACZYŃSKIEJ
 cechowa dla kobiet

dawniej Mazowiecka 11, obecnie Ś-to Krzyzka 31 m. 7.

Przyjmuje pensjonarki, przychodnie, na różne rzemiosła; kwalifikuje na nauczycielki robot. Uczennice otrzymują patenty szkolne i świadectwa cechowe.

Tylko przy pierwszorzędnej pracowni sukien można prędko i gruntownie nauczyć się kroju i szycia oraz nabrać gustu, dlatego, osobom interesowanym polecamy

Szkołę kroju i szycia

MICHAŁINY KOZŁOWSKIEJ

Mazowiecka 1, m. 4.

Kursy prywatne i cechowe oraz pensjonat dla przyjezdnych z najtroskliwą opieką.

—>>> Ceny umiarkowane. <<<—

Kroju wyucza gruntownie bez poprawek bardzo tanio najnowszym systemem teoretycznie i praktycznie w przeciągu 3—4 tygodni, właścicielka znanej firmy

„CHIC VARSOVIEN”

wykwintnej pracowni sukien wykwalifikowana krawczyni, dyplomowana przez Paryską Akademię Mistrzów Krawieckich. — Zgoda 6.

Specjalny Magazyn Bielizny i Konfekcji Damskiej

L. GAŁKOWSKIEGO

138. Marszałkowska 138.

Poleca bieliznę w wielkim wyborze, jako też: Krawaty, Spinki, Laski, Parasole i wyroby trykotowe francuskie. — Najlepszy krój koszul męzkich. —

BIURO NAUCZYCIELSKIE
GRETILLAT

Ś-to Krzyzka 15.

Poleca: nauczycielki, bony cudzoziemki, gospodynie, panny służące.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

JAHŁKOWSKIEJ

Warszawa, Marszałkowska 118

poleca: nauczycielki, bony, cudzoziemki.

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE

ANTONINY PIASECKIEJ

poleca nauczycieli, nauczycielki, bony sprowadza cudzoziemki

Warszawa, Krak.-Przed. 38.

Biuro Rekomendacyjne

WASILEWSKIEGO

b. nauczyciela gimnazjum

— Marszałkowska 123. —

Polki, niemki, francuski, angielski.

Biedna wdowa po urzędniku, z małym synkiem, ułomnym, uprasza o laskawą pomoc na życie i jakąkolwiek odzież.

Adres: Ogrodowa 52 m. 35. Gruszecka.

Kancelarya Tow. Pszczelniczo-Ogrodniczego
(Warszawa, Wiejska 12)

przyjmuje zapisy kandydatów i kandydatek na

KURSY 2-LETNIE

PSZCZELNICZO-

OGRODNICZE

Rozpoczynają się, jak corocznie, d. 1 Października. Wolni słuchacze i wolne słuchaczki mogą wstępować tylko na rok jeden.



Jedyny prawdziwy
PUDER W KSIĄŻECZKACH
 firmy Papier Poudre Ltd Londyn.



Marka fabryczna patent № 215848

Reprezentant **S. Rósciszewski**
 Warszawa, Marszałkowska 97.

Znajduje się w handlu we wszystkich perfumeryjach, składach aptecznych, aptekach u Pp. fryzjerów.

Wydawca: **Piotr Laskauer.** — Redaktor: **Maryan Gawalewicz.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Августа 1904 г.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41